№ 23 WARSZAWA d. 25 Maja (6 Czerwca) ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; – W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie, Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Od Redakcyi.

Przy kończącem się pierwszem półroczu r. b. upraszamy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnej na Tygodnik Mód i Powieści na dwa następne kwartały, i to najlepiej wprost do Redakcyi pod adresem poniżej wskazanym. Jest to bowiem najpewniejsza droga, aby pismo nasze w przesyłce dalszej zwłoki nie doznało. Warunki prenumeraty pozostają też same a mianowicie:

w Warszawie **Kwartalnie r. s. 1 kop. 80**
na Prowincyi i w Cesarstwie
Kwartalnie . , **r. s. 2 kop. 50**
Półrocznie . **r. s. 5 — —**

Z powieści oryginalnych będziemy drukować prace pani E. Orzeszkowej, J. I. Kraszewskiego i innych naszych pisarzy.

Adres. Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie ulica Żabia Nr. 956.

I.

O właściwym celu wychowania.

Jakkolwiek cel wychowania znanym jest powszechnie, zdaje się jednak, że jasne jego pojęcie nie od tak dawna na właściwą weszło drogę; przynajmniej w umysłach mniej się zastanawiających. Zwykle też zachowującego wszelkie formy ogłady powierzchownej, nazywamy wychowanym dobrze, zapominając, że to jest dopiero ułożenie z wychowaniem bardzo zbratane, ale nie stanowiące jego istoty. Można też w zwyczajnych stosunkach być w towarzystwie bardzo pożądanym, a nawet chwalonym, a jednak pod względem wewnętrznych przymiotów bardzo ubogim. Zewnętrzna ta powłoka odrazu wpadająca w oczy, podoba się wszystkim, uprzedza pochlebnie, ale nie przedstawia człowieka tem czem jest właściwie, a nawet przeciwnie utaja zręcznie jego braki moralne. Starania o jej zdobycie, usunąwszy na bok cel właściwy wychowania, włożywszy na wzrastające pod jej wpływem pokolenie jakby szatę odświętną, w gawiedzi zawsze poszanowanie obudzającą, zamieniły się niejako w metodę, która całej społeczności wiele szkody przyniosła. Dziś wprawdzie z pod jej wpływu staramy się otrząsnąć, od końca jednak zeszłego wieku była ona wszechwładną panią, a jakkolwiek zdarzały się wyjątki, te jednak prawidła stanowić nie mogą.

Stało się to naturalnym wpływem zwrotu społecznego ku lepszemu, z tą tylko różnicą, że nie usposobieni jeszcze do pojęcia treści, starali się o przyjęcie jej formy. Ludzkość odradzała się, godność człowieka zdobywała nowe prawa, zachód w tym zabiegu przewodniczył, gdy więc ogół społeczny promieniejąc nowemi pojęciami inaczej myślał, mówił i działał niż jego ojcowie i dziadowie, pozostając na jednym stopniu prostoty obiawów na zewnątrz, warstwy górne z przyswajaniem nowo powstających pojęć, przybrały i odpowiednią powierzchowność, aby się od ogółu odróżnić utrwalić na zdebytem przez wieki stanowisku, i niejako uszlachetnieniem swej powierzchowności, dać świadectwo podniesienia własnej moralnej istoty.

Możni kraju naszego w wycieczkach swych odbywanych tak powszechnie w końcu zeszłego wieku, do ówczesnej stolicy świata Paryża, tylko ogładę tę powierzchowną skwapliwie przyjęli, i nie wniknąwszy w jej wewnętrzne znaczenie, starali się o przyswojenie jej tak dla siebie jak i dla pokolenia pod ich okiem wzrastającego.

Ubożsi naśladowali ich, i nauczenie się po francuzku, wykształcenie w niektórych talentach, zgrabne znalezienie się pomiędzy ludźmi, grzeczność, uprzejmość w postępowaniu, łatwość prowadzenia rozmowy w każdym przedmiocie uznano za warunki dobrego wychowania.

Tworzyły się też lalki salonowe, zgrabne, fertyczne i społeczność cała stała się lalką, z którą jak z lalką postępowano, dzielono, rządzono według potrzeby z góry narzuconej, a wszelkie zachciewki do otrząśnięcia się z przymusowéj opieki, jako niezręczne a więc bezsilne surowo karcono.

Zrozumiano jednak wprędce, że tu bez nauki się nie obejdzie, oświatę więc umysłową wzięto za drugi cel wychowania, ale i to właściwego jego celu nie osiągnęło. Można bowiem być bardzo naukowym człowiekiem, a jednak źle wychowanym nie pod względem powierzchownej ogłady, ale moralnej treści człowieka. Obecne sarkania na młodzież, na jej zmateryalizowanie aż nadto ten zarzut usprawiedliwiają. Wszakże ta młodzież oświeca swój umysł, zdobywa patenta naukowe, nawet garnie się do pióra, uczy drugich, reformuje, łaje, krytykuje, więc umie niby wiele, wiele pragnie, a jednak dziwimy się jej, ubolewamy i w większej części mamy słuszność, bo rzeczywiście młodzież dzisiejsza z niewielkim wyjątkiem, nie jest taką jaką być powinna. Przyczyną tego jedynie.... złe wychowanie, a raczej pominięcie tego co istotę jego stanowi.

Gdy więc ułożenie pociągające i nagromadzenie wiadomości naukowych, nie jest właściwie wychowaniem, cóż niem będzie?

Duch i ciało to spójnia stanowiąca człowieka; duch nie samą wiedzą wzrasta i rozwija się, ciało nie samem przybieraniem miłego układu, hartuje się i mężnieje. Wiedza wprawdzie w ścisłem tego słowa znaczeniu, zamyka w sobie wszystko co ducha podnosi i uszlachetnia, ale wtenczas dopiero gdy stanie na wyżynie do jakiej po długich latach pracy dopiero dochodzi. Ułożenie miłe w zwyczajnych towarzyskich stosunkach wystarcza, ale posiadaczowi jego nie przynosi tego pożytku, jaki daje ciało hartownie rozwinięte.

Potrzeba więc do wiedzy dołożyć jeszcze rozwijanie moralnych pobudek skłaniających do dobrego; a do troskliwości o układ powierzchowny, starania o rozwój ciała należyty. Połączenie tych dwóch warunków, stanowi dopiero dobre wychowanie, opieka rodzicielska robi ich zasiew, nauka utrwala i rozkrzewia,

czas plon z nich wydobywa, uszczęśliwiając i jednostki i całe społeczności. Takich, co spełniają to wielkie zadanie, nazywamy dobremi obywatelami kraju, ale chociaż nie każdemu dano się orłem urodzić, ale każdy może jak pszczoła lub mrówka w ulu mrowiska ludzkiego, wpływać na jego i własne uszczęśliwienie. Summa tych usiłowań pojedynczych staje się miarą ogólnego dobra: gdy małą cyfrę przedstawia, zkądże ma się wziąść pomyślność powszechna?

Kształcąc zatem dzieci na dobrych obywateli i obywatelki kraju, uposaża się je w zasiew wszelkich cnót ludzkich, a dopełnianie tego w kierunku obywatelskości dla tego tak jest potrzebne, że dzieci broni od wrodzonego ludziom samolubstwa, że je przyzwyczaja do uważania siebie jako jednostki w wielkiej gromadzie społecznej, dla której dobra jak dla własnego, winny nabierać wdrożonych w siebie przymiotów, aby służąc jej pożytecznie, przez nią i na siebie zlewały pomyślność.

Otóż zdaje nam się że cel jasno wytknięty, gdy więc zgadzamy się na określenie samego wychowania, łatwo przyjmiemy i środki posługujące do niego. Przedstawić je w następnym szeregu artykułów, będzie naszem usiłowaniem, szczególniej zaś zwrócimy uwagę, aby w nich praktyczna strona przeważała.

STELLA

POWIEŚĆ

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

I.

Godzina dziewiąta na wieży gmachu kąpielowego wybiła. Muzyka zeszła z promenady, i tylko jeszcze tu i owdzie opóźniony przechodzień z kubkiem w ręku, resztki źródlanej dopijał wody.

Pod wystawą bluszczem obrosłą. goście licznie nakryte obsiedli stoliki, zaspakajając apetyt kawą, bułeczkami i rogalikami świeżemi. Ładne twarzyczki, śmieszki i szczebiot srebrno-dźwięcznych głosików, wesołe zapowiadały gronka. Odznaczało się szczególniej jedno, złożone z kilku poważniejszych osób, pań i panów oraz i trzech, gdyby kwiatki, panienek. Dwie były blondyneczki jasne, trzecia więcej płowa a wszystkie w ładnych rannych ubraniach, różowych, białych, niebieskich. Niekiedy wszystkie trzy odrazu szczebiotały, trzepały coś ucieśnie co wszakże nie zbyt harmonijny chór stanowiło. Przysłuchawszy się bliżej, dowiedzieć się było można, że pierwsza miała imię Klocia, druga Lorcia, a trzecia Brynia. Nie były to córki jednej matki, ale trzech matron, które siedząc obok, spoglądały na swoje latorośle z uśmiechem zadowolenia.

Dalej przy stoliku, nieco na uboczu trzy osoby siedziały: pani lat średnich, drobna, opiekła, rysów nader miłych, z uśmiechem słodyczy na ustach, i jeszcze z krasą biało-różową na licu, pan wzrostu słusznego, silnej budowy, siwowłosy, twarzy wydatnej, pięknej, szlachetnego wyrazu, oczów ciemnych, mówiących, z wąsem niemal białym, i panna nader wdzięcznej postaci, dość wysoka, wysmukłej, giętkiej kibici. Na licu jej młodem zlało się podobieństwo do ojca i matki. Rysy miała drobne i ładne, wyraz nader pociągający; płeć białą matki, ale matową więcej i jej uśmiech słodki, oczy zaś ojca, duże a ciemne, z czarną niemal brewką i rzęsą; czoło jego wydatne, włosy ciemno-płowe, bujne a miękie, które w grubych splotach wychylały się z pod słomkowego kapelusika. Suknia biała z cienkiej tkanki wełnianej drapowała składnie szczupłą jej kibić. Kapelusik zdobił pęczek przecudnych bławatków. Na poręczy krzesła wisiała jej szafirowa zarzutka. Czytała coś tam rodzicom głośno, pochyliła się właśnie, co giętkiej jej kibici szczególniej malowniczego dodało powabu.

Po chwili podniosły się trzy panienki, których imiona już znamy, i jakoby barwne motylki ku pannie w bieli frunęły.

— Stelko! zawołała Klocia, chodźmy do salonu. Pogramy, zaśpiewamy...

— Przejrzymy dzienniki, dodała Lorcia.

— Nieznośnie długie godziny do obiadu, ani wiedzieć jak je zabić, domówiła Brynia.

— Chciałam ojcu dzienniki przeczytać, Stella obejrzała się na rodziców.

— Przeczytam je sam, dziecko moje, a ty idź i zabaw się pospołu, ozwał się ojciec Stelli.

— Słońce już i tu zagląda, więc pójdziemy do siebie, a ty pozostań z panienkami, wymówiła matka i powstała.

— To chodźmyż! Klocia ujęła Stellę pod rękę, rodzice nasi już poszli sobie, by zagrać preferansika.

Pan Zebrzyński, ojciec Stelli, podał żonie rękę, i udali się do domu. Panny do salonu zbiorowego pobiegły.

Stella zdjęła kapelusik, poprawiła układ pięknych warkoczy, usiadła przy fortepianie i fantazyą jakąś zagrała, cieniując ją melodyjnie i wdzięcznie. Klocia i Brynia zaczęły przeglądać dzienniki mód, czyniąc różne, przeróżne uwagi; Lorcia przed zwierciadłem poprawiała ubranie.

Dźwięki fortepianu przycichały po chwili. Stella w zamyśleniu ręką jedną uderzała jeszcze jakieś harmonijne akordy.

— Zaśpiewaj! zaśpiewaj! wołała Klocia.

— Zaśpiewaj, Stelko! zawtórowała Brynia.

— Nie mogę, nie stałoby mi głosu, zamarłby mi w piersiach.

— Dla czego? Brynia przyskoczyła do niej.

— Smutno mi, bo doktór dziś mówił, że biedny Adam Tomski już ztąd nie wyjedzie...

— O mój Boże!

— Na przechadzce już go od dni kilku nie widziano.

— Nie wychodzi wcale, odrzekła Stella.

— Biedny!

— Szkoda go!

— Biedna Elcia! zawołały trzy panienki chórem.

— Czy Eliza wie, że on umiera? zapytała Brynia.

— Któżby jej to powiedział! odezwała się Stella powstając od fortepianu. Dziś jeszcze przysłał mi przez doktora świeżo ułożoną piosenkę. Napisał ją wczoraj dopiero, i to mówiąc wyjęła zwitek nut z kieszonki, zdaje mi się, że jest śliczna. Miałam ją prześpiewać... ale niepodobna...

— To taki ładny chłopiec, wykształcony, utalentowany, wymówiła Klocia.

— I ma *chic*, dodała Lorcia. (1)

— O Lorciu moja, nie używaj tego wyrazu przynajmniej mówiąc o podobnych ludziach! ozwała się Stella.

— Dla czego?

— Uważam go za niewłaściwy w ogóle, a szczególniej dla Adama Tomskiego. I nie lubię tego wyrażenia, razi mnie.

— Dla czego? Nie pojmuję!

— Jako obcy, jako oznaczający coś jedynie powierzchownego... próżność błyskotną, wystawność, modę, niby to smak dobry... ale zawsze nicość.

— Och! och! zaśmiała się Lorcia. Mnie właśnie podoba się bardzo, bo oznacza le bon ton i przecież używają go osoby należące do dobrego towarzystwa.

Stella z lekka tylko ruszała głową. przystąpiła do stolika i dziennik jakiś przerzucać poczęła.

Po chwili zagrała Lorcia poleczkę, a Brynia i Klocia wesoło salę okrążać poczęły. Stella z dziennikiem w ręku rzuciła się na fotel.

Ulicą cienistych kasztanów, blisko okien salonu, przechodziły właśnie dwie panie: niemłoda już, słuszna, dobrej tuszy, która jeszcze ślady dawniejszej zachowała urody, druga młoda, wysoka, nader kształtna, pięknością swoją wszędzie zwróciłaby uwagę. Obiedwie były ubrane z wielką elegancyą.

— Pani Warecka z Laurą! zawołała Klocia, skończywszy polkować, i poskoczyła do okna, a za nią Brynia i Lorcia.

Pani Warecka usiadła na ławce opodal. Laura przystąpiła do okna.

Więc przypatrzmy się, rzekła, lepiej tej młodej piękności.

Rysy jej bardzo regularne podnosiła białość niezwykła lica i świeży odcień róży, oczy wielkie, niebieskie, w pięknej oprawie, dziwnym świeciły blaskiem, harmonizując z uśmiechem ust koralowych. Włosy cudnie blond opuszczały się w lokach niby to naturalnych na szyję i ramiona, kształtnego sięgając stanika. Suknia i kapelusz wedle mody najświeższej były w dwóch cieniach zielonego koloru. Pierwszą zdobiły koronki tej samej barwy; a kapelusik wielka prześliczna róża.

— Panie z dalszego wracają spaceru? zapytała Klocia.

— Chodziłyśmy do domku szwajcarskiego na kawę, odrzekła Laura.

— Czy same tylko?

— *Oh, que non!* piękna Laura białe pokazała ząbki. Chodzili z nami panowie Poleńscy.

— I zgubiłyście ich panie? wtrąciła Lorcia dowcipnie niby.

— *Comment donc?* Nie gubi takich się klejnotów! Posłałam jednego z listem na pocztę a drugiego do księgarni... Ale mama już wypoczęła, zatem i do widzenia. Skinęła ku oknu rączką w ślicznej, duńskiej rękawiczce o czterech guzikach. I niebawem obiedwie z matką po za kasztanami zniknęły.

— Roznosiciel listów! zawołała znowu Klocia, a idzie tutaj.

Wszystkie trzy panienki ku drzwiom poskoczyły. Wszedł, i ucieszona Brynia z rąk jego list odebrała.

— Od siostry mojej! mówiła, rozdzierając kopertę.

Poczęła czytać, uśmiechała się a potem wyrzekła:

— Słuchajcie! słuchajcie! i czytała głośno: „Przed tygodniem odbył się pojedynek pomiędzy Stasiem Zbiniewskim a Karolem Murkowiczem, a to o Adelkę....”

— O Adelkę! zawołały razem, Klocia i Lorcia.

— „Obadwaj starali się o nią jednocześnie. Jeden drugiemu zawadzał, żaden ustąpić nie chciał, i wynikł pojedynek...”

— I któż ranny? zapytała skwapliwie Lorcia.

— „Pan Karol otrzymał lekką ranę w rękę. Adelka znać zawsze *preferowała* pana Stanisława, a teraz są już po deklaracyi.”

— O! jakaż ona szczęśliwa! zawołała Lorcia, że pojedynkowali się o nią!

— Szczęśliwa, że pojedynkowali się o nią? pochwyciła Stella, i podnosząc się zdziwiona na Lorcię spojrzała.

— Zapewne. Bo obadwaj złożyli dowody, że ją prawdziwie kochają i przecież dla niej życie narażali.

---

(1) Jest to wyrażenie dość dziś upowszechnione *szyk* powstało już w naszych czasach.

— I ty chciałabyś być powodem pojedynku?

— Och, naturalnie! I panienka nagłym ruchem złożyła dłonie. To nas podnosi, uszczęśliwia, nadaje sławę!

Stella ramionami wzruszyła:

— A cóż wy na to, Bryniu i Kłociu?

— Nie można przeczyć, że obydwa miłości swojej złożyli dowody, a przecie to nam pochlebia, odrzekła Kłocia.

— Otacza pewną aureolą, dodała Brynia.

— Przerażają mnie zdania wasze! Ani zastanowiłyście się nad tem co mówicie, odrzekła Stella. Wypadek taki raczej głęboko zasmucić powinien, a nie dość na tem, wywołać wyrzut sumienia ..

— Wyrzut sumienia? pochwyciła Lorcia, to i cóż panna winna, gdy w niej zakocha się dwóch na raz?

— A jeżeli była zalotną i łudziła obydwóch?... Zawsze to smutne dla kobiety. Ta panna Adela powinna była wyraźnie dać poznać panu Karolowi, że serce jej przemawia za panem Stanisławem.

— Nie mogła przecież impertynencyi robić?

— I bez impertynencyi można chłód okazać. Inaczej... przytrzymywanie obydwóch, możnaby kokieteryą nazwać.

— Jakże surowo sądzisz! zawołała Kłocia.

— Nie przeczę, że są wyjątkowe okoliczności i położenia. Czasem kawaler w obec swojego zawodnika, chce *par force* pożądanego dopiąć celu. Ale najczęściej panny, wywołujące pojedynek, postępują bez taktu i godności.

— Dali jednak obadwaj dowody wielkiej miłości, powtórzyła Lorcia uparnie, a to prawdziwa rozkosz dla serca każdej kobiety.

— A może, uśmiechnęła się Stella znacząco, może i posag ich nęcił.

— Wprawdzie,—poszepnęła Brynia, Adelka jest bogatą i stanowi jak to mówią dobrą partyę.

— Nie chodziło im pewnie o posag! mówiła Lorcia obstając przy swojem, skoro życie oddać chcieli... A widzieć się kochaną, największą dla kobiety jest rozkoszą: tego serce jej pragnie! Być kochaną z poświęceniem i z zaparciem się własnego ja! wiedzieć że ten kto ukochał gotów do największych ofiar, wołała z uniesieniem, oto jak ja miłość rozumiem.

— Być kochaną! powtórzyła Stella i ku niej piękne ciemne oczy ze szczególnym zwróciła wyrazem: Sądziłabym, że kochać i uszczęśliwiać, to dopiero rozkosz daje sercu kobiety!

— Wolę być kochaną!

Stella umilkłe i czytała dalej.

Po chwili wszedł lokaj i poprosił ją do rodziców.

— Do widzenia! rzekła Stella uprzejmie do trzech panienek.

— Do zobaczenia! odpowiedziały jej chórem?

— Czyliż nie jest emancypantką? zagadała Lorcia, gdy drzwi zamknęły się za nią. Czyliż nie mam racyi? Zawsze wam to mówię: ona nie ma uczuć niewieścich! Nie ma pragnienia duszy, ażeby być kochaną.

— Ale powiedziała przecie, że kochać i uszczęśliwiać jest rozkoszą serca ozwała się Kłocia.

— To czczy frazes, bo kobieta potrzebuje, ażeby ją kochano.

— I Stella nie chciałaby wywołać pojedynku, odezwała się Brynia a przecie on dowodzi miłości.

— Bo nierozumie tego uczucia i nie pojmuje pragnień serca niewieściego! Inaczej to rozumie Lorcia; powiedziała też wczoraj, że najwyższem szczęściem kobiety jest być kochaną!

— A samej nie kochać? wtrąciła Kłocia pomna wyrazów Stelli.

— Och, przeciwnie! mówiła do nas: „Nie oglądałabym się na nic w świecie, i pokochałabym bez myśli, bez zastanowienia się, ślepo, namiętnie! Wszakżeż starożytni przedstawiali miłość z zawiązanemi oczami. I ja tak pojmuję ją tylko. Rzucić się w otchłań uczuć, być kochaną, z szałem, ponad wszystko! To pięknie powiedziane, nieprawdaż? To prawdziwie poetycznie!

— Zapewne .. poszepnęła Kłocia w zamyśleniu: ale...

— Ona rozumie miłość i...

W tej chwili weszło do salonu dwóch młodzieńców, jeden nie mający lat dwudziestu, składnej postawy, ładnego lica, wesołego wejrzenia, młodziutkiego wyrazu z lekkim puszkiem płowym po nad uśmiechniętą wargą. Drugi mógł mieć około lat dwudziestu ośmiu. Był prawdziwie pięknym: wysoki, kształtny, twarzy, o rysach klasycznych, cery świeżej; oczy wielkie, szafirowe, rzucające nieco melancholiczne spojrzenia co im szczególniej pociągającego dodawało powabu, zarost miał ciemnawy. Mógłby był za Apolina Belwederskiego uchodzić.

Panny pokraśniały z lekka gdy weszli młodzieńcy i niby mimowolnie, jak spłoszone kurczątka, zbliżyły się do siebie. Chociaż przed chwilą zdania swoje o miłości wypowiadały tak śmiało, widać jednak było że powtarzały tylko pochwycone frazesa, w gruncie jednak zachowywały wrodzony instynkt dziewiczy.

Młodzi pokłonili się.

— Czy kuzynka nasza już odeszła? zapytał młodszy.

— Stelkę rodzice wezwali do siebie, odpowiedziała Kłocia, ale i na nas czas wracać do domu.

Kiedy panienki odeszły, odezwał się młodszy z przybyłych.

— Ładniuchne istotki!

— Stokrocie! wymówił obojętnie starszy.

Byli to Wacław i Michał Poleńscy, stryjeczni bracia Stelli.

II.

Pan Tadeusz Zebrzyński odziedziczył po rodzicach znaczny i rozległy majątek, Żulince. Od lat dziecinnych z zamiłowaniem oddawał się naukom, a w młodzieńczym wieku wiedza stała się dlań jedynym celem życia. Nie potrzebując troszczyć się o byt materyalny, oddawał się jej wyłącznie i z rozkoszą. Jedna z najwięcej przez niego ukochanych nauk, była astronomija, to też niebawem zatonął w niej całkiem. Sprowadzał sobie wszelkie dzieła, jakie tylko w tej dziedzinie wychodziły, rozmaite narzędzia, doskonałe teleskopy, lunety i t. d. W urządzonej na ten cel wieżycy pałacowej, utworzył małe obserwatoryum którem dnie i noce nieraz całe przepędzał.

Rodziców utracił wcześnie, a stryjowie, wujowie, ciotki, nie pojmujący tego rodzaju szczęśliwości, usiłowali nadaremnie wyrwać go z objęć boskiej Uranii. I tak dożył do czterdziestego czwartego roku życia.

Pewnego dnia czyli raczej pewnej nocy, którą rozmarzony astronom zawsze więcej cenił od dni jasnych, w nocy księżycowej, gwiazdzistej, pan Tadeusz wracał właśnie do domu, gdy powóz jego przystanął nagle.

— A co tam? zapytał ockniony z zadumy o Jowiszu czyli Syryuszu rozpatrując się po gwiazdzistem niebie

— Jakaś kareta leży na środku drogi—odrzekł służący, złamali tam oś a może koło.

— To zobaczcież, trzeba pomódz! i sam z powozu wyskoczył.

Przy karecie czworokonnej, opakowanej, stały trzy kobiety: jedna sędziwa, druga młoda i śliczna, a właśnie księżyc całem objął ją światłem. Trzecią zaś była panna służąca, rumiana, śmiejąca się, co jednak nie przeszkadzało jej głośnych zawodzić lamentów.

Sędziwa pani załamała dłonie, wyrzekając na niedolę jaka je spotkała.

— Ależ babciu najdroższa! prosiła panienka z wyrazem anielskiej słodyczy i pogody, toćże nic tak bardzo nie stało się złego! Wysiadłyśmy szczęśliwie, i ludzie także, nawet i konie nie doznały szwanku. Noc prześliczna, jasna! Dociągniemy przecie do jakiego noclegu. Tomasz na koniu do pierwszej dojedzie wioski, a gdyby....

W tej chwili pan Tadeusz do nich przystąpił.

—Bądźcie panie spokojne, przemówił uchylając kapelusza, potrafimy zaradzić wszystkiemu. Mieszkam z tąd o pół mili, powóz mój jest na usługi pań, a karetę ludzie zatoczą bezpiecznie.

Panienka uśmiechnięta zróżowiała cudnie w blasku księżycowym, a wiadomo, że w promieniu tego słońca uroczego, wszystko większego,—niby tajemniczego nabiera uroku.

— Pan jesteś tak dobrym, poszepnęła głosikiem milutkim.

— Prawdziwie po staropolsku przychodzisz nam, pan z pomocą, ozwała się sędziwa pani, to też tak szczerze ofiarowaną gościnność z wdzięcznością serdeczną przyjmuję, i podała mu rękę, którą z uszanowaniem do ust poniósł.

Pan Tadeusz był pięknym za młodu, i teraz jeszcze pozostał przystojnym bardzo i wydawał się młodym. Przedstawił się paniom a sędziwa pani odrzekła:

— Jestem Jaroniecka z Zielnika, a to moja wnuczka, panna Marya Niżewska.

Pan Tadeusz kazał swojemu powozowi podjechać. Panie wsiadły, on z niemi. Kazał strzedz karety i zapowiedział, że po nią ludzi z Żuliniec wyprawi zaraz.

W Żulińcach pałac był wspaniały, ogród rozległy, zabudowania pokaźne, zatem całość w pięknym obrazie przedstawiła się paniom. Pokoje znalazły w nieco dawnym umeblowane guście, bo pan Tadeusz pozostawił je takiemi, jakie były za rodziców jego. Dawność ta nadawała im wszakże pewien pokost pańskości. Oświetlono je zaraz. Niebawem, podano herbatę, wieczerzę, nawet konfitury, co wszystko o wielkim ładzie domowym świadczyło. A winniśmy tu wyjaśnić, że domem pana Tadeusza Zebrzyńskiego, zarządzała dotąd jeszcze odziedziczona wraz z majątkiem, szafarka po rodzicach, skarb prawdziwy a nader rzadki dziś już zabytek. I ta zacna panna Marcyanna urządzała i teraz jeszcze wszystko, tak jak było za nieboszczki jejmości.

Z gospodarstwem i zarządem całego klucza działo się szczęśliwym wypadkiem tak samo. Pan Tadeusz wyobrażenia o rolnictwie nie miał, kochał wprawdzie ziemię, kochał niebo i ziemię, ale znał pierwsze lepiej, bo zaledwo umiał kłos pszeniczny od żytniego rozróżnić. Wiemy, że przy niesumiennym zarządzie, to i największe pękają majątki. Żulinieckim majątkiem zarządzał jednak nader uczciwy ekonom, także odziedziczony po ojcu, a następnie wychowaniec, na którego wykształcenie był łożył, zawołany agronom. Opatrzność przeto opiekowała się poczciwym panem Tadeuszem, boć też i zaprawdę lepszego nie było pana dla sług i włościan, szlachetniejszego człowieka i więcej prawego obywatela.

Ale wracajmy do dalszych następstw złamanej karety. Był to, w tajemnicy powiedziawszy, stary już gruchot, więc i nic dziwnego, że się roztlekotał na zwirówce, po której mil dziesięć ujechał.

Karetę przeprowadzili ostrożnie ludzie z Żuliniec. Paniom zostały wskazane pokoje, poznoszono walizy, tłomoki, a rumiana garderobna fertała się wesoło, bo jej podobał się pałac i smakowały konfitury, któremi do pieczystego uraczyła ją panna Marcyanna.

Nazajutrz ranek czerwcowy był cudny, Marya wyjrzała oknem, i Żulińce przedstawiły się zielono, malowniczo, uroczo. Właśnie pan Tadeusz przechodził, spojrzał ku oknu, i pokłonił się. Panienka by-

łaby chciała ukryć się za firankę, ale nie wypadało: odkłoniła się zatem z uśmiechem i różą na licu.

Stary sługa przyszedł i oznajmił pani swojej: że kareta jest bardzo uszkodzoną, zajęli się naprawą miejscowi kołodziej i kowal, lecz zaledwo jutro naprawę wykończyć potrafią.

— Przez Boga żywego! zawołała sędziwa matrona, składając dłonie, Panno przenajświętsza, to i jakżeż tu tak długo będziemy załogą?

— Fraszki to, jaśnie pani, odrzekł Tomasz, jaśnie pan tutejszy dziedzic, uśmiechnął się, rad z duszy gościom.

A w domu takie dostatki, machnął ręką, że i nie zrobi się kłopotu nikomu.

— Ależ, mój Boże! Trzeba pana Zebrzyńskiego przeprosić.... Taki ambaras! pokręciła głową.

Maryi młodą twarzyczkę w tym czasie, bezwiednie pewno, wyraz szczególnego skrasił zadowolnienia.

Po godzinie jedenastej panie uprzejmego gospodarza wdzięcznie powitały. Pani Jaroniecka narzekała że mu tyle czyni trudu i przepraszała stokrotnie za to nieumyślne natręctwo.

—Pani dobrodziejko! odrzekł Zebrzyński ze szczerością, z czem dziwnie było mu do twarzy, błogosławię złamaniu koła i zaliczam ten wypadek, Bóg widzi, do najszczęśliwszych w mojem życiu. Samotność zwykłą, nowe rozjaśniły mię gwiazdy! pan Tadeusz pokraśniał, może dla tego że samowolnie wspomniał o *gwiazdach* i Marya także.

— Pan jesteś grzecznym bardzo i bardzo dobrym, uśmiechnęła się babka, podając mu rekę, którą z radośnym wyrazem do ust przycisnął.

Raczą panie łaskawie przyjąć małe śniadanko, które już czeka w jadalni, pokłonił się uprzejmie, i z elegancyą, jak to uważała, Marya, podał rękę babuni. A potem, mówił dalej, jeżeli panie pozwolą, ranek jest nadzwyczaj piękny, to przejdziemy się po ogrodzie.

— Ogród jest śliczny! zawołała Marya.

— Pragnę, ażeby był piękniejszym! wymówił pan Tadeusz nie bez znaczenia.

Pragnął, ażeby był piękniejszym! Zapragnął tego pewno w tej chwili dopiero, a dla czego? Panna zrozumiała to dobrze, bo znowu twarzyczkę jej odcień róży upięknił.

Po śniadaniu zatem poszli do ogrodu z którego Marya śliczny przyniosła bukiet. Potem pokazał im uprzejmy gospodarz zbiór obrazów, które ściany pokoju jednego zapełniały całkiem.

A pomiędzy temi były i piękne, nabyte jeszcze przez dziada, szkoły włoskiej i holenderskiej. Obejrzeli bibliotekę w przyległej salce, obserwatoryum i przyrządy wszelkie. Babce trochę było trudno wpiąć się po wschodach, ale uczyniła to przez miłość dla wnuczki, która aż drżała z ciekawości. Przypatrywała się też wszystkiemu z wielkiem zajęciem.

Pan Tadeusz byłby dnia tego jak najzupełniej o swoich zwykłych przepomniał gwiazdach, bo na ziemi zeszła mu gwiazdka o wiele więcej urocza od tamtych na niebie, gdyby nie ta naukowa ciekawość panienki.

Gdy jednakże w pałacu ucichło już wszystko, siłą nawyknienia popchnięty, udał się do obserwatoryum, przed pójściem na spoczynek. Ale... wszędzie, zamiast niebieskich, błyskotnych światełek, widział raczej tylko błękitne, łagodne, które nie błyszczały migotliwie, ale coś tak cudnego mówiły i szczęście przyrzekały nieznane dotąd. Och, i porzucił wszystko! bo dzisiaj z niebieskiemi gwiazdami, choć go nęciły, wcale rozmawiać nie umiał.

Porzucił więc ten ulubiony zakątek i wybiegł do ogrodu. Drzewa i kwiaty woń niosły uroczą. Szary śpiewak odzywał się tęskliwie wśród wieńców lipy; gwiazdy migotały, a migotały naprożno: cisza i spokój ukołysały wszystko w około, a pan Tadeusz doświadczał czegoś, czego w łonie jego nie bywało dotąd: był to jakiś słodki, luby niepokój, jakaś śpiewność ducha, i radość i tęsknota zarazem.

Nazajutrz ranek był piękniejszym jeszcze, wczoraj, tak wydawało się przynajmniej panu Tadeuszowi i Maryi, patrzyli się oboje przez pryzmat uroków, które iskierka niebieska, boska, w ich roznieciła serach, więc i wszystko stało się piękniejszem.

Kareta miała być dopiero wieczorem gotowa, zatem uprosił uprzejmy gospodarz, że jeszcze do następnego pozostały ranka. Po obiedzie zaproponował przejażdżkę w okolicę na co babcia zezwoliła chętnie, a Maryi to i pytać nie było potrzeba.

Przejażdżka była arcy-przyjemna, a dnia reszta i wieczór upłynęły gdyby jedna godzina.

A czy pan Tadeusz udał się potem jeszcze do swoich dawnych gwiazdek? Uchowaj Boże! niewierny ani zamarzył o nich, bo nowa zajęła go jedynie.

Dnia następnego, po drugiem śniadaniu, zaszła kareta. Służba pakowała walizy, tłomok, pudła i pudełka. Stała nad niemi panna służąca i uśmiechała się figlarnie jakoś.

Marya patrzyła oknem a niby tęsknem było jej spojrzenie i sięgającem daleko. Pan Tadeusz z babunią rozmawiał. W tem zajechał i jego koczyk w uprzęży czterech dzielnych skarogniadych.

— Pan także gdzieś wyjeżdża? zagadała pani Jaroniecka.

— Pani dobrodziejka pozwoli, że będę panie eskortował, odrzekł Zebrzyński. Lękam się o karetę, i pragnę być na usługi pań.

Marya przy oknie zakwitła, gdyby różyczka i niby tchu jej w piersi nie stało, a babuńcia zawołała, składając dłonie.

— O, mój mości dobrodzieju, jakiż z pana rycerz. To jest grzeczność nie na dzisiejsze czasy, Bóg widzi! Przyjmuję tę rycerską usługę, bo i jakżeby jej odmówić? Ale kładę warunek, że pan na odwet dni parę pod moim dachem zagościsz.

Pan Tadeusz, gdyby młodzieniaszek, zacną matronę z wdzięcznym wyrazem pocałował w kolano. Wszakżeż tego mu tylko potrzeba było!

Odprowadził więc panie do Zielnik i całe dwa dni tam zabawił.

We trzy miesiące potem poprowadził swoją ziemską gwiazdę do ślubnego ołtarza i dzieweczka go pokochała całą młodą, niewinną duszyczką. Rodzina w panu Tadeuszu Zebrzyńskim świetną uznała partyą, zatem wszystko skajarzyło się szczęśliwie.

Gwiazdeczka Marya dopieroż rozjaśniła horyzont w Żalincach!

W rok potem urodziła się córeczka, której dali imię Marya Stella.

— Gwiazda to dla nas, wyrzekł do młodej żony pan Tadeusz, gwiazda dla mnie i dla ciebie! gwiazda naszego życia, gwiazda na naszem niebie!

Oddawał się jeszcze i dawnym swoim gwiazdom na niebieskim stropie, ale więcej dwom ziemskim. Matka pieściła, pielęgnowała małą Stellę, rozwijała następnie serduszko dziewczątka i wrażeniową duszyczkę, a ojciec z zamiłowaniem najwyższem pojętny i zdolny kształcił umysł. Nauczyciele i nauczycielki, byli im tylko pomocniczemi środkami, bo sami dziewczynki nigdy nie spuszczali z oka, i pod tak troskliwą opieką wyrosła Stella.

Pannę ładną, z dobrego gniazda, wzorowo wychowaną, pełną przymiotów i zalet i bogatą, rychło rój wielbicieli otoczył. A może niestety!... głównie dla onego ostatniego zwłaszcza przymiotu... Boć to wiek dziewiętnasty, mój Boże!

Dotąd jednakże Stella żadnego nie uczyniła wyboru: to ją raziła czczość umysłów i próżnia serca, to zarozumiałość, wytrawione na wszystko uczucie, wystygłość na wrażenia wszelkie i oschłość ducha; to wreszcie materjalizm wstrętny i owe wszystkie bolesne przywary dni naszych. Przeczuwała nadto w każdym wielbicielu swoim, raczej wielbiciela ponętnych miljonów, które stanowiły jej wiano. Bywała wiele w świecie, bo państwo Zebrzyńscy wyjeżdżali często: poznała towarzystwo, świat elegancki, mimo tego przechowała jednak uczucia młode, świeże, kochała ludzi, zapatrywała się poetycznie na życie, lecz obawiała się konkurentów o posag.

Rój owych wielbicieli grosza, począł jej być ciężarem i nudził ostatecznie, więc też państwo Zebrzyńscy wyjechali z domu, niemal w tajemnicy: nikt nie wiedział dokąd, by pasożytna czereda nie pogoniła za niemi i już drugi właśnie tydzień bawili w Źródliskach swobodnie, spokojnie, szczęśliwi, bez onej ćmy konkurentów!

Michałowi Poleńskiemu lekarz także Źródliska przepisał. Wacław zaś przyjechał za panną Laurą Warecką, którą w Warszawie poznał.

(D. c. n.)

O POSTĘPIE

PRZEZ

Elizę Orzeszkową

(Dalszy ciąg).

Cokolwiek bądź, przypuszczając nawet, że prawd moralnych nigdy nie przybywa światu, możnaż twierdzić, że prawdy te nie stają się coraz lepiej znanemi, coraz szerzej tłomaczonemi? Proste sformułowanie zasady moralnej, wcale czem innem jest niż poznanie ją ze stron wszystkich i aż do głębi, niż wyciągnięcie z niej wszelkich możebnych wniosków, ogarnięcie ją w jak najwyższej i najogólniejszej a zarazem najpraktyczniejszej i najszczegółowszej jej postaci.

Powodując się przepisem miłowania bliźniego. Seneka zalecał ludzkie obejście się z niewolnikami; Amerykański filantrop Chaning, w imię tego samego przepisu nie ograniczył się już doradzaniem nie bicia i nie dręczenia niewolników, ale nauczał że wcale ich bić się nie powinno.

„Nie naruszaj własności cudzej" powiedziano jeszcze na górze Synai, ależ oddawna prawa własności przestały być ograniczanemi do domu, wołu, osła i służebnicy, a rozciągnęły się w pojęciu ludzkiem na pokój, cześć, wiarę i myśli bliźniego?

Miłość, ta podstawowa cnota moralności, miewa tak jak wiedza swoich genijuszów.

Wincenty à Paulo w wieku powszechnej obojętności na cierpienia maluczkich, budujący domy schronienia dla opuszczonych dzieci: Wilhelm Penn w czasach najokrutniejszej nietolerancyi religijnej, zawierający w cieniu dziewiczych lasów przymierze zgody i przyjaźni z czczącemi fetyszów plemionami Indyan: Sara Martin zstępująca do więzień aby nieść wsparcie moralne zbrodniarzom i przygotowywać miłosierną reformę w ich losie: Ponuts ubogi wyrobnik zakładający w Anglji pierwszą szkołę dla dzieci nędzarzy, oto genijusze miłości w zwięzłych i spospolitowanych przepisach moralnych, odkrywający głębie nieznane, szczyty niedojrzane, całe światy nowych szczegółów i rozumień prawdy. Pociągają one za sobą lepszą część ludzkości, a odkrycia ich ulepszają i potęgują moralność powszechną, tak jak wynalazki naukowe i przemysłowe wzbogacają powszechne bogactwo i wiedzę.

Przepisy moralne pojmowanemi być mogą ciasno i obszernie, poziomo i wzniośle. Ztąd dwa rodzaje moralności: instynktowa, ciasna, przesądna, najczęściej fanatyczna, i samowiedna, szeroka, jasna, wybaczająca.

Nie podobna jednak nie widzieć, że drugi ten rodzaj moralności, przedstawiający jej postęp, wytworzyć się, ani tem bardziej rozpowszechnić w świecie nie może, bez energicznego współdziałania wiedzy. Miłość wiedzy pozbawiona, łatwo wprowadzić może na drogi mylne. Powiadają, że niektórzy ze średniowiecznych inkwizytorów bardzo mocno kochali ludzi a mordowali innowierców w przekonaniu, że oddają im a przynajmniej rodzajowi ludzkiemu znakomitą przysługę.

Dowiedzionem jest zupełnie, że Proudhon był człowiekiem bardzo dobrym i namiętnym lubownikiem ludzkości. A jednak teorya jego powstała z namiętnej, prawdziwą wiedzą nie oświeconej i nie oczyszczonej miłości, ileż niezdrowych żywiołów wlała w sumienie warstw społecznych, które były miłości tej przedmiotem? Ile zamięszania sprawiła w pojęciach, jak fatalne w przyszłości obudziła echa? Sumienie powszechne aby posuwało się po drodze postępu, musi być koniecznie oświecanem przez wiedzę i wzajemnie, rozum powszechny wtedy wytwarza postęp nieprzerwany i płodny w następstwa, jeżeli wspomaga go moralność wysoka i czysta, strzegąca godności, wolności, rozumnej odpowiedzialności człowieka, zabezpieczająca bezpieczeństwo niewinnym, prawa słabym, przebaczenie, miłosierdzie samym upadłym.

Takie to połączenie wiedzy z moralnością, jakkolwiek często naruszane wybuchami złych namiętności, jakkolwiek osłabione ciemnotą i głupotą ludzką, sprawiło już na ziemi rzeczy wspaniałe. Przez nie to ludzie uznanymi zostali równymi w obec sprawiedliwości, przez nie poupadały krzycząco niesłuszne przywileje, ustanowioną została swoboda sumień i wyznań, zniknęły z powierzchni świata wojny nigdy nie ustające, krwiożercze pomsty, próby Boże, tajemne procedury sądowe, arbitralnie wymierzane kary i straszliwe ich narzędzia.

Przez nie to niedołężna starość i opuszczone niemowlęctwo znalazły przytułki i opiekę, niewolnik stał się panem swych losów, kobieta uznaną zostala człowiekiem, dziecię nabyło świętych praw indywidualizmu: każdy człowiek otrzymał na własność sumienie swe, mienie, przemyślność i pracę.

Nie wszystkie zapewne dzieła te wykończonemi są i nie wszędzie zaczęto już około nich praktyczną robotę. Wiele groźb wisi nad świętemi zdobyczami ludzkości, wiele niszczących żywiołów czyha na ich pochłonięcie. Niemniej przeto droga jest już wytkniętą, cel dokładnie znanym. Ludzkość zatrzymywana w zwycięzkim swym pochodzie, wie przecież dokąd dąży i jakiekolwiekby gwałtowne dno jej mącić mogły występne namiętności, jakiekolwiek groziłyby jej wstrząśnienia i chwilowe zaćmienia, noc wieczna nie nastąpi już dla niej nigdy. Pomimo powtarzających się tu i owdzie wybuchów pierwotnej dzikości, ludy oświecone coraz ściślej godzą się w uznaniu głównych i najwyższych prawd moralnych, a jeżeli praktyka nie w zupełności jeszcze doścignęła teoryi, to jednak teorya ta niby nić czarodziejska, wysuwa się ze wszystkich serc wielkich i światłych umysłów, i śród labiryntu plątanin dziejowych, zwolna lecz nieustannie wiedzie ludzkość podrodze udoskonalenia się i uszczęśliwiania.

III.

Ludność postępuje po drodze udoskonalania się i uszczęśliwiania, ale jak długą i o ile obiecującą jest droga ta, kędy niemożność zakreśla niezbędny jej koniec? Stwierdziwszy istnienie postępu i przypatrzywszy się prawom i harmonijom, które nim rządzą, postarajmy się w najściślejszym przynajmniej domniemaniu zakreślić przypuszczalne na przyszłość wyniki jego i ostatecznie możliwe granice.

Dla wzrostu sił rozumowych człowieka, dla zwycięztw które wiedza odnosi nad ślepemi żywiołami przyrody, nie podobna wyznaczyć dziś końca ni granic. Jakaś chyba katastrofa dziejowa nie prawdopodobna niemal, żadnem obrachowaniem przewidzieć się nie dająca lub niespodziany, oku dzisiejszej wiedzy umykający przewrót przyrody, mogłyby położyć koniec zwycięzkiemu temu pochodowi; ale usuwając na stronę nadzwyczajności, z doświadczenia przeszłego wysnuwać mamy prawo najśmielsze dla przyszłości nadzieje.

W gruncie rzeczy, ludzkość znajduje się u wstępu zaledwie rozwoju naukowego i ekonomicznego, i nie tylko objaw żaden nie zdradza słabnięcia jego i wyczerpywania się, ale przeciwnie w bieżącym właśnie wieku, wszystko zdaje się dodawać mu potęgi, śmiałości i szybkości. Władze umysłowe człowieka tak jak siły mechaniczne przyrody, zaledwie są napoczętemi. Słowa które wyrzekł niegdyś Newton dziś jeszcze nic na prawdzie swej nie utraciły: ,,Jesteśmy dotąd jako dzieci igrające nad brzegami morza i podnoszące tu i owdzie lżejszy od innych kamyczek lub połyskliwszą muszkę; olbrzymi zaś ocean prawdy rozciąga się przed nami tajemniczy jeszcze i niezgłębiony."

Obrachowano że w r. 1860 wszystkie maszyny działające w Wielkiej Brytanji na rzecz przemysłu ludzkiego, przedstawiały zgromadzoną siłę 1 milijarda i 200 miljonów ludzi. Jest to więcej niż zbiorowa siła razem wziętej ludności całej ziemi. Wyobraźmy sobie porę, w której wszystkie narody pracować zaczną w podobnych rozmiarach; co więcej, w której rozmiary te rozszerzonemi i ulepszonemi zostaną w skutek odkrycia nowych czynników naturalnych, i pomnożenia nowo podbitemi sił dziś posiadanych? Czyliż nawet wiedza nasza dziejowa dostateczną jest, aby dać nam możność pojęcia czem się stanie ziemia przetworzona niejako wolą człowieka, jaką będzie postać planety przerobionego na warsztat niezmierzenie wielki, dla interessów, dobrobytu i spokoju człowieka pracujący bez przestanku wichrami swemi i strumieniami, gazami swemi, elektrycznemi prądami i mnóstwem żywiołów innych, dziś nieznanych jeszcze lub nieowładniętych? Rozum mięsza się, wyobraźnia omdlewa w obec dojrzanych zdala olśniewających świetności obrazu tego...

Inaczej nieco rzecz się ma z ideałem doskonałości moralnej i szczęścia człowieka. Tu postęp napotyka żywioły nieprzyjazne sobie a tak nieodłącznie spojone z naturą ludzką, tak silnie w nią wkorzenione, że zniszczenie ich zupełne jest niepodobnem, częściowe zwalczenie zaś możebnem, lecz stokroć trudniejszem jak walka z siłami zewnętrznej przyrody.

Namiętności zmysłów, niedobory charakterów i umysłów ludzkich, mącą i utrudniają wyrabianie się moralnego postępu ludzkości.

Choroba i śmierć trzymają nieustannie miecz groźby zawieszony nad najzupełniejszem choćby zkądinąd szczęściem człowieka. Jakkolwiek więc udoskonali się rozum ludzki, wzrośnie potęga i sama nawet moralność wzniesie się nad poziom dzisiejszy, występek, cierpienie, bojaźń nie znikną z powierzchni ziemi, ponieważ nie znikną z niej: namiętność, choroba, śmierć.

Nie będąc przecież wstanie zgładzenia namiętności, choroby, śmierci, tych wiekuistych i wiecznie trwałych źródeł błędów, cierpienia, bojaźni; nie mamyż także mocy słabiania ich, zwracania wpływów przez nie wywieranych, w pomyślniejsze dla siebie kierunki?

Namiętność wzięta sama w sobie nie jest złem absolutnem. W ogólnej harmonji władz ludzkich jest ona nawet władzą niezbędną. To iskra, która rozpala dobroczynne ciekawości i wzniosłe uczucia, to płomień, który spaja ludzi z ogniskiem domowem i ziemią rodzinną, który sam rozum nawet zapłodnia iskrą zapału. Prawda że ten sam ożywiający ogień świata może być ogniemnisze zącym, zamieniającym dusze ludzkie w żużle ziejące jadem, gmachy społeczne w gruzy i popioły. Od sposobu wykształcenia skierowania zależy zgubność lub zbawienność siły tej potężnej, tak straszliwie objawiającej się nieraz a jednak życiu ludzkości — niezbędnej. Nie możnaż spodziewać się że coraz lepsze kształcenie woli, coraz szerszy zakres wiedzy oddziaływającej na zmysły i wyraźnie, że coraz rozumniejszy i do istotnej natury jednostek lepiej zastosowywany system wychowawczy, i coraz zmniejszająca się, w skutek słusznych praw i rękojmi, liczba sposobności rodzących złe pożądania i uczucia, umniejszy w świecie summę szkodliwych namiętności, a pomnoży zbawiennych, że jeżeli nie wszyscy ludzie zostaną Aniołami, mniej znajdzie się pomiędzy nimi moralnych potworów, i jeżeli namiętności zawsze przynosić będą z sobą wielkie szkody i cierpienia, wynagrodzą to przez nie sprawione korzyści i dobra. Dość porównać nieobuzdane okrutne i jednostronne namiętności plemion dzikich z namiętnościami ludów oświeconych, aby nabyć wyobrażenia o dobroczynnem oddziaływaniu w tym względzie postępu. A więc spodziewajmy się więcej jeszcze i przedewszystkiem starajmy się o więcej..

(d. c. n.)

SZKIC

LITERATURY ROSSYJSKIEJ

Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg)

RZUT OKA NA OBECNY STAN LITERATURY ROSSYJSKIEJ.

Popęd nadany piśmiennictwu rossyjskiemu przez kolej wypadków następujących po sobie w ciągu dziesięcio—lecia od 1850 do 1860 nie zatrzymał się w biegu; poczucie narodowe zaczęło budzić się do życia, nowe dążności zaczęły przebijać się coraz wybitniej i coraz w nowe przejawiać kierunki. Zawezwano najsłynniejszych pisarzy aby objawili swe przekonania w kwestyach współczesnych, i zupełnie nieznani przedtem pisarze wystąpili jako szermierze na gruncie piśmiennictwa wojującego. Wielu autorów zaczęło traktować w swych dziełach przedmiota palącego interesu, i podali je publiczności w nader udatnej formie.

Jednym z najważniejszych objawów współczesnych pojęć i obyczajów rossyjskich, było pojawienie się około roku 1860 takzwanych doktryn nihilistycznych; trzech autorów obrabiali je w swoich romansach, z równym talentem pod względem artystycznym, ale pod względem poglądu, ze stanowiska mniej więcej stronnego. Turgeniew napisał *Ojcowie i dzieci* (1861), Gonczarow *Strumień* (1869) a Pisemski *Wzburzone morze* (1863).

Turgeniew zamierzył sobie zdemaskować i zwalczyć nihilizm, tego ducha negacyi, który wówczas właśnie zaczął krzewić się między młodzieżą i w społeczeństwie i groził obaleniem zasad ogólnie przyjętych, wytępieniem zdrowych tradycyj narodowych i zniweczeniem wszelkich drogich sercom ludzkim uczuć.

I tak nihiliści nie wierzyli w czystość, wielkość i wzniosłość miłości, którą uważali tylko za kombinacyę wrażeń fizycznych, i strącali ją z idealnego piedestału na jakim postawiły ją najgłębsze uczucia duszy i rycerskie, przez wieki średnie przekazane nam pojęcia...

Małżeństwo, ten związek uświęcony religią, było w ich przekonaniu prostą jedynie umową, którą w każdej chwili można rozwiązać i zwalić lub też prostą tylko współką handlową.

Nihiliści nie uznawali żadnej powagi ani w naukach, ani w sztukach ani w przedmiocie prawodawstwa; sceptycyzm stanowił w nich jedyną podstawę wiedzy; nie uznawali żadnej różnicy między prawami rządzącemi życiem duchowem, a warunkami rządzącemi materyą, a wszelkie fenomena z dziedziny intellektualnej, tłomaczyli prawami fizyologicznemi. Nauki przyrodzone stawiali przed wszelkiemi innemi, jednak cenili je tylko o tyle o ile przyczyniać się mogły do materyalnych korzyści. W podobny sposób oceniali sztuki piękne; według nich o tyle tylko miały wartość o ile dopomagały do szerzenia wiedzy i popularyzowania jej w klasach niższych; co się zaś tyczy estetyki, piękna i urzeczywistniania ich przez poezyę, uważali za śmieszność i zabawkę dla dzieci.

Nihilizm, który pod wielu względami zbliża się do idei materyalistycznych, szerzonych w Europie w XVIII-ym wieku, był wprost przeciwstawieniem dążności idealistów, którzy wtedy właśnie zaczęli krzewić przekonania swe w Rossyi. Wiele także dopomógł do rozpowszechnienia pojęć nihilistycznych wpływ filozofji niemieckiej Hegel'a, szczególniej pod względem zapatrywania się na postęp, oraz pisma socyalistów i ekonomistów z zachodniej Europy, które czytano z wielkiem upodobaniem i nadto wojna krymska a nakoniec ogólny nastrój prassy rossyjskiej, witający z oklaskiem wszelką nowość, której głównemi przedstawicielami, był *Współczesny* i *Słowo rossyjskie*.

W *Ojcach i dzieciach* Turgeniew przedstawia jeszcze nihilizm jako kwestyę filozoficzną, zanim została ona urzeczywistnioną w życiu praktycznem.

Bohater romansu, Bazarow, w sporach swoich z przedstawicielami znikającego pokolenia, stara się przekonać ich, że żadne zasady rzeczywiście nie istnieją, że uczucie jest fenomenem czysto fizyologicznym nie mającym w sobie nic idealnego, że wszelkie nauki o tyle tylko mają wartość o ile dają się zastosowywać, jak naprzykład nauki przyrodzone do medycyny, itd. Rozprawia szeroko o pracy indywidualnej i społecznej; zbytek uważa niemal za zbrodnię. W ogóle, w dziele swojem Turgeniew pragnie wykazać, że zaprzeczając wszystkiemu nihiliści zaprzeczają wprost prawom przyrodzonym i społecznym. I tak Bazarów szydzi i żartuje nieustannie z miłości, a jednak sam szalenie i prawdziwie zakochany; potępia pojedynek a mimo to sam się pojedynkuje, jego teorye nie zgadzają się zupełnie z wewnętrznem jego przekonaniem ani postępkami.

Jednak pomimo tych wad Bazarow zyskuje sobie szacunek i współczucie czytelnika, kilku rysami charakteru przemawiającymi na jego korzyść: jest bowiem czynny, pracowity, wytrwały i szczerze miłuje niższe warstwy społeczne, które też wielką odpłacają mu się wzajemnością.

W romansie swoim *Ojcowie i dzieci* a więcej jeszcze w nowszej powieści *Dym* (1867), Turgeniew okazał że jest nie tylko zdolnym bardzo powieścio-pisarzem, ale zarazem głębokim myślicielem i krytykiem politycznym.

(d. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg.)

Madryt, w Maju 1874 r.

Upłynęło dni kilka, Bibianna nie przyjeżdżała. Raz wieczorem doktór rzekł do swego pacyenta:

— Dobrą i przywiązaną masz żonę, jenerale; dziś odebrałem od niej list, w którym nadzwyczaj troskliwie wypytuje się o zdrowie pana, nadmieniając iż jeśli nie czujesz się znacznie zdrowszym, chce przyjechać cię doglądać. Widać zataiłeś przed nią, że wody nie przyniosły ci spodziewanej ulgi.

— Nie chciałem jej martwić, odrzekł czcigodny starzec.

Po odejściu doktora, jenerał przywołał wiernego swego adjutanta:

— Lucyanie, rzekł, weź na pamiątkę ten zegarek, który dostałem kiedyś od twego umierającego ojca. Oznaczał on jedną za drugą wszystkie godziny naszego życia, a w ich liczbie nie było ani jednej, której wspomnienie budziłoby wyrzut sumienia lub rumieńcem wstydu pokrywało czoło. Oby wszystkie godziny jakie odtąd w życiu twojem oznaczać będzie, były równie czyste i zaszczytne, równie szczęśliwe i spokojne, jak te, które ci dotąd upłynęły, a gdy nareszcie zechcesz wybrać sobie dozgonną towarzyszkę, pozwól wskazówkom kilka razy obiedz cyferblat, za nim poweźmiesz stanowcze postanowienie.

— A! więc przekonałeś się nareszcie, jenerale, ... zawołał mimowolnie młody człowiek.

— Przekonałem się że jesteś najwierniejszym przyjacielem i najlepszym dla mnie synem, przerwał mu jenerał, i dla tego proszę cię, abyś spełnił ostatnią moją wolę,

— Rozkazuj jenerale.

— Powiedz .. że jej przebaczam... A teraz, proszę cię poślij po księdza.

— Jenerale! zawołał przerażony młodzian.

— Zrób o co proszę, dziecię moje. Spełnienie obowiązków religijnych nie przyśpieszy śmierci, a da mi spokój wewnętrzny.

W kilka dni później, Bibianna nie posiadała się z radości, twarz jej promieniała zadowolnioną próżnością i pychą; uzyskała nareszcie owo upragnione zaproszenie na obiad dworski. Stała przed toaletą strojna w przepyszną suknię, i właśnie przymierzała, które z bogatych jej klejnotów lepiej do niej pasować będą, gdy oddano jej list.

— Nie mam czasu czytać go teraz, zawołała zniecierpliwiona, margrabina P... czeka żeby mnie zawieść do dworu.

— Ale bo list ten jest od jenerała... rzekła, nieśmiało panna służąca.

— Zdaje ci się! poczta nie przychodzi o tej godzinie.

— Przysłany sztafetą.

Bibianna zamyśliła się chwilę:

— Znowu jakiś fałszywy alarm pomysłu Lucyana mówiła sobie... Zresztą cokolwiekby było, cóż mogę temu poradzić?.. Jeźli, choć mi się to nie zdaje, list rzeczywiście jakąś ważną zawiera wiadomość, w skutku której musiałabym przedsięwziąść coś stanowczego, to w żadnym razie dziś już nic nie zrobię, trzeba czekać jutra. Gdyby list ten przyszedł kwadrans później, jużby mnie nie zastał w domu, więc po cóż czytać go teraz? Jeźli przynosi mi jakąś złą wiadomość, niepotrzebnie popsułby mi humor i nie umiałabym godnie odpowiedzieć zaszczytowi, jaki król uczynić mi raczył...

Poczem nie czytając schowała list do szuflady, rzuciła okrycie, pojechała i dopiero późno w noc wróciwszy do domu, rozpieczętowała go i przeczytała.

Była to odpowiedź doktora, którą Lucyan odesłał sztafetą, dodając od siebie że jenerał ma przyjąć ostatnie Sakramenta.

Przeczytawszy, Bibianna doznała jednego z tych silnych wstrząśnień jakie uczuwają niekiedy najbardziej zatwardziałe serca, ponieważ jakkolwiek sofizmata samolubstwa mogą zagłuszyć, stłumić i pokonać głos obowiązku, jednak mimo to kryje on się w głębi duszy każdej istoty, która słyszała słowo Boże, lub choćby tylko odebrała jakieś ukształcenie moralne.

— On może już umarł! umarł! powtarzała z coraz większem przerażeniem, umarł! a ja nie byłam przy jego śmierci. Co to ludzie na to powiedzą!

Posłała natychmiast po konie pocztowe, i napisała do jednego ze znanych doktorów, prosząc aby jej towarzyszył; potem ubrała się, pochowała starannie wszelkie kosztowności, i z najzimniejszą krwią wydała potrzebne rozporządzenia. W kilka godzin wszystko było gotowe i właśnie miała wyjść, aby wsiąść do oczekującego powozu, gdy drzwi się otwarły i Lucyan wszedł do pokoju.

— Już zapóźno senora, rzekł poważnie.

— Zapóźno? jakto?.. jenerał...

— Przestał już czekać na panią.

— A więc umarł?

— Wszak wcześnie zawiadomiłem.

— Za późno list odebrałam.

— A dawniejsze?

— Ach! mój Boże nie dowierzałam im.

— Zarówno jak ja nigdy nie wierzyłem pani.

— Czy przyszedłeś ubliżać mi w moim domu?

— Nie, przyszedłem oddać ten klucz.

— Co za klucz?

— Klucz od trumny, w którą zamknąwszy mu oczy złożyłem na wieczny spoczynek zwłoki męża pani którego opuściła i dozwoliła umrzeć zdala od siebie.

Bibianna rzuciła się na sofę szlochając głośnym płaczem i dostała ataku nerwowego.

— Jakto, płaczesz pani, rzekł z goryczą Lucyan, pewny byłem że tego nie umiesz. Trzeba było żeby aż srogi wyrzut odezwał się z zimnej mogiły i uderzył jak Mojżesz rózgą, chcąc wodę wydobyć ze skały.

— Nie zapominaj pan, rzekła, podnosząc się, że widzisz mnie zrozpaczoną, ale nie żałującą za jakąś urojoną winę. Cóż można mi zarzucić?

— Że potrzebowałaś przebaczenia jakie w ostatniej chwili udzielił ci najszlachetniejszy z ludzi, który nieszczęściem nie chciał mi wierzyć, kiedy mówiłem mu: że nikt, a on mniej niż ktokolwiek inny, może być szczęśliwy łącząc się z kobietą pyszną, zimną, samolubną i bez serca. A teraz, senora, dodał, mierząc ją wzrokiem niewysłowionej pogardy, przywdziej szaty żałobne, popisuj się przed światem swoją długą wdowią zasłoną, wmawiaj w ludzi że jesteś wzorową, oszukuj ich udawanym smutkiem, jak oszukiwałaś pozorem przywiązania do męży.

— I teraz jak zawsze świat uważa mnie za taką jaką byłam i jestem, odrzekła, maskując pod wymuszonym uśmiechem pychy, złość i upokorzenie.

— Sądy ludzkie nie zawsze są uzasadnione, odrzekł Lucyan, często opierają się jakby na poduszce nadętej wiatrem: gdyby ktoś chcąc oprzeć na niej rękę, zajrzał do środka, zadziwiłby się zobaczywszy tylko próżnię.

— Niczem nie wytłomaczona zaciętość i niechęć jaką mi okazujesz, nie zakłóci spokoju mego sumienia, odparła wyniośle.

— Nie wątpię o tem, odrzekł odchodząc,—gdy tylko samolubstwo sparaliżuje serce, sumienie zamiera."

(D. c. n.)

Korespondencya Zagraniczna.

Z Krakowa.

(Dokończenie).

Jest w tem działaniu głupota wielka: bo nawet dla tych dziewięciu bankrutów byłoby lepiej, gdyby dziesiąty towarzysz tego samego fachu a innego czystego sumienia, utrzymał się przy życiu i nie stracił

możności podania ręki mniej winnym lub mniej ostrożnym.

Jest złość a złość próżna z głupotą w najbliższem pokrewieństwie od wieków zostająca, bo siebie nie ocala bankrut, kiedy drugiego bankruta stworzy, bo się pozbawia możności oszukania lub okradzenia takiego, który ma co stracić, bo nędzy swej materyalnej i moralnej, jeźli co z tego wątłego materyału pozostało, nie zmniejsza, owszem powiększa. Na kimże rozboje i oszustwa dokonywać się będą, jak wszyscy wszystko stracą.

Jest w tem działaniu zazdrość nieudolna także w głupocie matkę, swą rodzicielkę mająca, bo zazdrosny nie może mieć widoku, aby posiadł przedmiot zazdrości swojej, bo krew sobie psuje, życie nieznośnem czyni i na pośmiewisko niezawodne naraża siebie.

W skutek stowarzyszenia się tych trzech sił ujemnych, szerzą się nieustannie pogłoski, że *Bank Galicyjski dla handlu i przemysłu* bankrutuje dziś lub zbankrutować musi jutro. Świadomi rzeczy nie wierzą złośliwie rozsiewanym pogłoskom, ale tak wiele energii nie posiadają, aby im przeczyć głośno, bo obojętność na złe i dobre jest cechą ludzi dzisiejszych, nawet najlepszej woli. Tymczasem Korespondenci z Krakowa do dzienników Lwowskich, Wiedeńskich ślą ciekawe listy swoje, czasem bardzo dowcipnie pisane, powtarzają uliczne wieści, nie sprawdzając ich z obawy, że gdyby były fałszywe, przepadłby zyskowny przedmiot do korespondencyi. Wreszcie dla dobrego dowcipu nie żal zabić dobrego człowieka, nawet dobrą Instytucyą; za dobry dowcip płaci się parę centów, jeśli wiersz cały druku zajmuje; dobry człowiek nie ma w tej chwili ceny żadnej, nie jest wale notowany w Kurscetlach giełdowych, w towarzystwie dobry człowiek także nie jest notowany, bo nudny w pożyciu, wiecznie łaknący jakiejś zacności, jakiegoś sumienia społecznego, (altruizmem naukowo zwanego) a to łaknienie jest chorobliwym stanem, którego społeczność zdrowa, od skrupułów sumienia wolna, zaspokajać niepowinna.

Kiedy się na razie bankructwo Banku nie sprawdza, szuka złość ludzka ofiar między prywatnemi: znalazłszy szczęśliwie jedną rozciąga ją natychmiast do krewnych, znajomych, przyjaciół, nieprzyjaciół nawet, byle więcej i więcej. Nie syci własnej nędzy, radzibyśmy widzieć w nędzy wszystkich. Takie są dzieje bankructw finansowych.

Bankructwa moralne niemniejsze i nie rzadsze także. Przykład świeży i ciekawszy nad wszelkie ciekawości. Dobrej opinii długi czas używający adwokat pewny, dopuścił się przeniewierstwa na summę kilkadziesiąt tysięcy złr. wynoszącą: sam jako winny oddał się w ręce sprawiedliwości, sam przed sądem przysięgłych wyznał tę winę i prosił tylko o złagodzenie kary. Prokurator jak mówią, co wywód sprawy słyszeli, nazwał obwinionego *szanownym* obwinionym, a *przysięgli* przeniewierstwa zbrodni nie uznali większością 7-miu głosów przeciw pięciu, chociaż adwokat nie przeczył, że cudzych pieniędzy kilkadziesiątków tysięcy użył na własne interesa.

Cóż to znaczy? Zdaje się, że tylko bankructwo opinii, bankructwo moralności; że naprzód zaczynamy tracić zdolność odróżniania cudzego od własnego, że się zaczynamy wahać w wyrzeczeniu, czy wolno jest kiedy nagła własna potrzeba przyciśnie, użyć cudzego grosza jak własnego, czy wolno jest majętniejszemu wziąść i między uboższych rozdać, czyli nawet dystrybutor taki cudzego mienia nie spełnia bohaterskiego czynu. Sumienie tedy publiczne w rzeczach najprostszych już jasno czuć i widzieć nie umie, już jest bezradnem w obec prawdy, w obec pojęcia złego i dobrego.

Przysięgłych o niesumienność obwiniać nie godzi się, bobyśmy dopuścili się wyższego jeszcze stopnia winy niemoralności: wierzymy najmocniej, że z przekonania, bezinteresownie wyrzekli n i e; ale że przysięgli są cząstką tej społeczności, która zaczyna tracić pojęcie cnoty i występku, więc to objaw niewątpliwy moralnego bankructwa.

Już dłużej nad tym przedmiotem zastanawiać się nie możemy, jak niemoglibyśmy długo wpatrywać się w ranę, która boli tego, który ją ma, a drażni czułość tego, który ją widzi.

Jeszcze jedno i ostatnie bankructwo moralne, bankructwo *smaku*.

Przed kilku dniami wystawiono w teatrze tutejszym trajedyą pięcioaktową, oryginalną, wierszem p. t. *Arija*. Utwór znakomitej literackiej wartości, który na pierwszem przedstawieniu w obecności autora, P. Kościelskiego, zyskał największe powodzenie, jakie się rzadko naszym oryginalnym płodom trafia. Krytyka zgodna była z opinją publiczną, gra dobra bardzo trzech głównych ról, wystawa w miarę sił sceny staranna i przy tem wszystkiem drugie przedstawienie raziło najsmutniejszemi pustkami; krzesła samą inteligencyą do szczupłych swych siedzeń przyjmujące, zaledwie w czwartej części były zajęte; parter zwykle młodzieżą zapełniony, która tylko 32 centy za bilet płaci, równie pusty, góra niemniej, lóż kilkanaście. Pytanie, czemu tak pusto było inaczej rozwiązać się nie da, jak tem, że to, co się podoba, co prawdziwie piękne, nikogo zająć nawet krótko nie może. Wiosna na przeszkodzie nie była, bo wiosny dotąd nie mamy, przechadzka nikogo nie odciągnęła, natura nieuwiodła wdziękiem, kieszeń młodzieńcza nie wypróżniła się, bo zwykle próżna dla pięknej Heleny otwarta, więc nnej przyczyny nie ma, tylko bankructwo smaku.

Utwór oryginalny, który tak niewdzięcznie, trudno powiedzieć, przyjęty, oceniony, serc pozyskać nie potrafił, świadczy o niezwykłym talencie autora. Wiersz przedziwny, język piękny, z wyjątkiem kilku pretensyonalnych wyrazów, jak *lęk*, i kilku podobnych, akcya dosyć żywa, myśli zacnych, wzniosłych niemało effekta sceniczne nienaciągane, tło historyczne w miarę zachowane, to przymioty wielkie, które dziełu zapewniają miejsce zaszczytne w literaturze i autorowi wróżą najpiękniejszą przyszłość. Po bliższem rozpatrzeniu się, możeby i ujemne strony dojrzeć się dały, ale tak wielka przewaga zalet, że o wadach żal mówić: czuje się pewną niespokojność sumienia, która niepozwala śmiało uderzyć na autora, tak świetnie po raz pierwszy u nas na scenie występującego. Możnaby jednak bez wielkiej wewnętrznej zgryzoty powiedzieć, że komizm w osobie sybaryty, żarłoka przedstawiony, przechodzi potrzebną miarę i psując, sceny poważne nie charakteryzują dobrze epoki, że hetera uszlachetniona gwoli chyba dążeniom dzisiejszej epoki, że zbytek frazesów pięknie brzmiących i sentencyonalnych osłabia wrażenie miejsc prawdziwie wzniosłych, że wyraz *cnota* we wszystkich znaczeniach tak obficie w Arii się powtarza iż wreszcie na cenie i wadze swej traci, że namiętna scena pomiędzy Ariją i wyzwoleńcem jest zbyt długą, więc przeciw prawdzie grzeszy, wyradza się w kłótnią raczej a walki namiętności nie maluje z tą precyzyą, zwięzłością i energiją, które są namiętnościom właściwe.

Otóż nie chcieliśmy wad wytykać, jeżeli je tylko dobrze pochwycić umieliśmy, a wady się znalazły. To już zła ludzka natura, która pięknem samem nasycać się nie rada, a szuka mimowoli plam i skazy. Pocieszamy się jednak tą myślą, że uwagi nasze nie dojdą do autora i szlachetnego a poważnego zapewne oblicza jego nie zachmurzą; zagłębiony w badaniach starożytnego świata dzienników mód czytać nie powinien; przyjaciół musi mieć nie wielu, nie będzie komu donieść mu o niełaskawej krytyce.

Jeszcze o jednem wybitnem u nas bankructwie moralnem sceny naszej, tylko co, że nie zapomniałem donieść. Od niejakiego czasu weszło tu w modę między artystkami nie dotrzymywanie kontraktów. Odbywa się rzecz ta w najprościejszy sposób. Po podpisaniu kontraktu, bierze się naprzód zaliczkę w Dyrekcyi kilka set reńskich, robi się po mieście długów tyle ile pozwolą zrobić, potem zawiązują się negocyacye z teatrem Lwowskim, któremu ta zabawka podkupywania artystów Krakowskich bardzo się podoba, albo z pierwszym lepszym prowincyonalnym teatrem, i w nocy z największą ostrożnością, po kilku miesiącach pobytu, zmyka się. Rankiem dopiero, gdy na próbę nowej sztuki zaproszą, pokazuje się, że tej i tego nie ma już od wczoraj w Krakowie. Znajdą się zawsze ludzie tak moralni i czuli, że artystów wezmą w opiekę, obronią taki ich postępek, a na dyrekcyą rzucą kamień potępienia, że uczciwych ludzi szanować nie umie. Tym sposobem w ostatnim tygodniu straciła scena czterech artystów różnej płci, wieku i zdolności.

A. B. C.

Rzeczy bieżące.

Maj pożegnaliśmy bez żalu, jak się zwykle żegna człowieka, który obiecywał wiele a mało dotrzymał. Dał nam wprawdzie cokolwiek wiosennych rozkoszy, ale to nie jego zasługa tylko konieczności. W zamian jakby z gniewu za te przymusowe dary, chłodził, ziębił, śnieżył, a nawet mroził w najlepsze jak w Grudniu lub styczniu, o czem gazety obszernie piszą. Wprawdzie nie zawsze wierzyć im należy i często dziś darząc nowinkami jutro zaprzeczają ich wiarogodności, ale w tym razie bynajmniej z prawdą nie minęły się, co dziwi i zastanawia. Z tak niezręcznym Majem publiczność Warszawska nie zbratawszy się, wyrzekła się nawet tylu ponętnych majówek, a nawet i wycieczka w Zielone świątki na Bielany nie bardzo dopisała, gromadząc tylko tłumy ale nie wystawy i elegancyi. Dawniej było inaczej.

Niegdyś poniedziałek Zielonych Świątek, szczególniej gdy pogoda była obiecującą, Warszawa prawie wyludniała się, ulicę zalegały pustki, przechodniów liczyć można było, trajkot brukowy przyciszał się, a z obawy ognia na większych placach zataczano sikawki z beczkami wody i obsługą dość skąpo przygotowaną. Całe życie miejskie, wrzawa, trajkot, gwar, krzyk, tłum, przenosił się w stronę drogi ku Bielanom, darząc tumanami pyłu, co dławił i oślepiał zarazem. Pomiędzy ściśniętemi szeregami pieszych wędrowców, sunęły powozy i wozy różnej nazwy i konstrukcyi. Wisłą płynęły galary za galarami, na których czerniły się głowy ludzkie tuż jedna przy drugiej jak kawałki roli makiem kwitnącym ustrojone, a na samych Bielanach nie tylko zjedzono i wypito wszystko co doraźny przemysł przygotował, ale nawet wydeptano murawę, która dopiero w kilka tygodni nowem rozkwitała życiem. Powrót tej rzeszy rozweselonej, krzykliwej, ustrojonej zielenią również był ciekawy i zajmujący, z czasem też pragnący się przypatrzeć gromadzili się w ogrodzie krasińskim, liczba wyprawiających się na Bielany zaczęła się uszczuplać, pomału widzowie z aktorami zrównoważyli się, aż w końcu wzajemny interes zużył się i wycieczka na Bielany stała się zwyczajem czysto ludowym, niczem nie przeszkadzającym innym przechadzkom i zabawom Warszawy.

Tak to zmieniają się czasy i ludzie i zwyczaje, czy to z dobrem czy ze złem dzieje się społecznem, nie będziemy rozbierać.

— Wspomnieliśmy wyżej, o nowinkach brukowych,

wymyślonych na prędce a rozsiewanych przez niektóre organa prasy peryodycznej, wiedzących dobrze, że je na drugi dzień odwołać trzeba. Jest to wielkie złe prowadzące do daleko smutniejszych następstw. Ploteczka zawsze się podoba, ale uznanemu plotkarzowi nikt w końcu nie wierzy. Ta zasłużona jednak wzgarda nie prędko wyrabia się w dobrodusznych słuchaczach, i dopiero wtenczas utrwala się, gdy plotka jakie wielkiej szkody i to nie raz jeden stanie się powodem. Dziś na nieszczęście plotka zakradła się już do dziennikarstwa brukowego i to najpoczytyczniejszego. Przyjęło więc rolę dawniej nieznaną jakby starało się dotychczasową wiarę w drukowane słowo osłabić. Dotąd wycieczki te na wyzyskiwanie ciekawości ludzkiej, obudzają tylko uśmiech politowania, wywołują wyjaśnienia, prostowania, zaprzeczania, gdy reporter z koźła zrobi barana albo obdarzy życiem nowinkę zupełnie nieżyjącą. Dziennik więc podobnie postępujący, starający się nowością zwiększyć koło swych czytelników mówiąc wyraźnie popełnia kłamstwo, w którem zaprawiwszy się, od małych kłamstw niby niewinnych przejdzie do większych i rzuciwszy się na zachwalanie rzeczy podejrzanéj, wytnie łatwowiernym takiego kuranta, że i franta w pole wyprowadzi. Od takich figielków do krachu wiedeńskiego kroków tylko kilka, czyż więc karcić podobnie bezwstydnych gazeciarzy nie należy? Publiczność powinna tu stać się oskarżycielem, sędzią i komornikiem wyrok egzekwującym.

Kłamiesz brukowcze śmiejąc się cichaczem z chwytających przynętę na twą popularność, więc jesteś kłamcą i jako takim gardzę tóbą i odstępuję. Wiedeńskie dziennikarstwo od takich także figielków rozpoczęło swój żywot dzisiejszy i stało się sługą podłych bankrutów, obdzierających bez litości nie tylko tysiące rodzin, ale niemal całe kraje.

Strzeżmy się od wejścia na podobną drogę, czytelnicy bądźcie baczni, pilnujcie się i powtarzajcie bajkę Krasickiego.

Dzieci przestańcie, bo się źle bawicie,
Dla was jest to igraszką nam idzie o życie.

Żeby zaś przyjść wam z jaką taką pomocą, kłamstwa brukowców od dziś dnia będziemy ściśle notować i każde ogłosimy z nazwą pisma, które się go dopuściło.

— O zakładzie rękodzielniczym dla kobiet otworzonym już od pięciu miesięcy w Warszawie, dopiero dziś podajemy wiadomość, bo sprawa ta jakkolwiek bardzo pożyteczna, tak jakoś tajemniczo powstała i rozwinęła się, że nawet dotąd nie mamy o niej zupełnie dokładnej wiadomości. Być może że osoby na czele zakładu stojące, przejęte godnością szczerych swych chęci, nie chciały uciekać się do rozgłosu dziennikarskiego, często przez interesowanych wyzyskiwanego, ale we wszystkiem powinna być miara i praktyczne jej zastosowanie. Bez rozgłosu, żadne przedsiewzięcie rozwinąć się nie może, powierzać je samej wieści z ust do ust przechodzącej jako rzeczy pożytecznej która sama chwalić się winna, jest wielką niewłaściwością. Należało koniecznie otworzenie zakładu i warunki obowiązujące uczennice ujawnić, publiczność zaś jakkolwiek dość już zrażona szumnemi obietnicami nie jest znów tak obałamuconą, aby szychu od złota rozróżnić nie umiała. Zarząd widać teraz dopiero uznał, że się przerachował w zbytniem przecenieniu pięknej swej myśli, bo obecnie wydrukował na oddzielnych kartkach rodzaj sprawozdania ze swej czynności pięciomiesięcznej i takowe rozesłał do wszystkich redakcyi z prośbą o zrobienie z niego właściwego użytku. Ale i tu brak dokładnych wiadomości. Wiemy z niego tylko że od czasu otwarcia, sto dziewięć kobiet z różnych stron kraju mieści się na liście uczennic zakładu, i że z liczby tych poświęciło się nauce introligatorstwa 9—buchalteryi 11—kroju i szycia sukien systemu Straupeznickiego, 12 — introligatorstwa 10—kroju i szycia sukien systemu Thiryfoca 14—kwiaciarstwa 11—razem zatem uczennic wszystkich było 67, co się stało zresztą 42, brakującą do wymienionej cyfry 109, sprawozdanie nic nie powiada. Nie oznacza także wysokości opłaty za naukę, która podobno jest rozmaitą, odpowiednią do przedmiotu wykładanego i dopiero z Wieku dowiadujemy się, że za naukę introligatorstwa opłata ta wynosi miesięcznie rs. 7, a rękawicznictwa rs. 8. Co do innych przedmiotów nie mamy żadnej wiadomości, czyż więc brak ich może przyczyniać się do rozwoju należytego całego zakładu? Podajemy je jednak dla zaspokojenia ciekawości licznych interesantek, zgłaszających się do nas listownie, są one wprawdzie niedokładne, ale w tem nie nasza już wina.

— Sprawą budowania nowych w Warszawie domów, dziennikarstwo nasze zajmuje się nie na żarty. Powydobywano różne fundusze miejskie w ukryciu dotąd spoczywające, przytoczono nawet różne rządowe postanowienia tego przedmiotu dotyczące, wykazując dowodnie, że na wzrastającą drożyznę mieszkań znalazłby się sposób, byleby go wprowadzić wykonanie. Pomiędzy innemi środkami budownictwo domów spółkowe bardzo jest zalecone, ale do wszelkich spółek nie jesteśmy jeszcze należycie usposobieni, a dowodem tego znane przysłowie:

Że złe spółki,
Kukały Kukułki.

Powodem tego głównym, brak należytego pojęcia obowiązku i solidarności a gdyby nawet znalazły się małe towarzystwa na spółkę dom stawiające i rządziły się nim jak najzgodniej, to ze zmianą stosunków, przy rozdziale byłby kłopot niemały w razie chęci sprzedania swej własności.

Ktoby chciał cząstkę takiego domu nabyć lub którzy spółkowi pozostający, przyjęliby za towarzysza pierwszego lepszego coby mając chęć kupna pragnął zostać współwłaścicielem? Zdaje się więc, że myśl ta nie wejdzie w wykonanie, ale czyby spółkowe stawianie domów nie dało się w ten sposób urządzić, aby postawiony dom na zewnątrz od frontu jak jedna kamienica, przez całą swą wysokość podzielony był na różne części według potrzeby cząstkowego właściciela, aby mieszkanie jego tym sposobem składało się od piwnicy aż do szczytu i łączyło się z innem tylko ścianą wewnętrzną i aby wreszcie każde miało swoje oddzielne podwórko z odpowiedniem ogrodzeniem. Na taką spółkę ochotników znalazłoby się dosyć, a że jest praktyczną, zagranica stawia na to dowód.

— Szkoły kucharek coraz się więcej upowszechniają po miastach znaczniejszych zagranicznych. Pisaliśmy o tem lat temu parę zachęcając, do otworzenia podobnej w Warszawie, ale na tem wszystko się skończyło. Mieliśmy wprawdzie zamiar sami to uskutecznić, ale wszystkie władze miejscowe, do których udawaliśmy się o uzyskanie pozwolenia, oświadczyły że do tego odpowiednich nie posiadają atrybucyi.

Projekt więc cały zaniechany został, a szkoda bo był rzeczywiście pożyteczny, miał jednak uczyć nie kucharki służące, ale same panie, pragnące znać się na kuchni i zarządzie domowym. W tym celu jedna z uczennic, z kucharzem i zarządzającą szkołą miała udawać się na targ codziennie dla zakupywania odpowiednich wiktuałów, obiad dostatni miał się przyspasabiać także codziennie na osób dwadzieścia, z rozsyłaniem go do domów dla abonamentów. Gotowaniem zaś i przyspasabianiem materyałów do niego, miały zajmować się pod nadzorem kucharza i zarządzającej same uczące się panie, z wyjaśnieniem co, jak, i dla czego, tak a nie inaczej powinno być zrobionem. Pomiędzy tylu różnorodnemi projektami wielkiej nieraz doniosłości, szkoła kucharek dla nadętych pychą swej mniemanej uczoności zda się błachym i mało znaczącym, ale jeżeli człowiek nie samem żyje ciałem, to i duchem nie jest bezcielesnym. Jadło więc zdrowe, smaczne a przygotowane z największą oszczędnością ma wielkie znaczenie, zarówno dla zdrowia naszego jak i kieszeni: nauczanie przygotowania takiego miało być celem zamierzonej szkoły kucharek, Dla podniesienia dobrobytu społecznego, nie tylko trzeba dobrych matek, ojców i nauczycieli ale i wzorowych gospodyń.

— Podobno kanalizacya Warszawy przyjdzie do skutku, most nie wiemy jeszcze czy połączy Saską Kępę z Warszawą, ale sprawa ta przycichła obecnie. Na kolej nadwiślańską przy zapisach w Petersburgu tak niezwykle tumultowe roiło się zbiegowisko, że miejscowe pisma bardzo malowniczo przedstawiły całą scenę ożywiającą gmach bankowy, a Kłosy powtórzywszy to dały rysunek odpowiedni wielce zabawnej treści. Niewtajemniczonym w tę finansową bitwę trudno wytłomaczyć powody, skłaniające do tak wielkiej natarczywości. Przypuszczenia różne roją się po głowie, bo tylko wielkie zyski jak dziś, do wielkich pędzą poświęceń w tumulcie zaś takim cisnąć się nie dbając na guzy i pękanie żeber, przyznacie że to poświęcenie. Kto za nie zapłaci? Zobaczymy.

— Kolce w ostatnim numerze powstały bardzo zasadnie, przeciw zbytniemu strojeniu panienek w dzień pierwszego ich przystępowania do spowiedzi i komunji. Że strojenie w wieńce i welony jak panny młode jest przesadnem, to zdaje się nie podlegać wątpliwości. Chwila taka nie powinna się niemi utrwalać w pamięci podrastających dziewcząteк, ale wrażeniem ważności samego aktu i jego uroczystością. Przy tej sposobności nadmieniamy z przyjemnością że Kolce od pewnego czasu widocznie zyskały jakieś dobre pióro kierowane głową zdolną nie młokosią. Artykuły p. t. Restauracye w Warszawie i Gderania starego ciernia i z humorem i z celem szlachetnym napisane, wymownie usprawiedliwiają to przpuszczenie. Więcej podobnych pracowników, a humorystyka nasza z małym i rzadkim niezmiernie wyjątkiem, zwykle pusta, nikła, czcza a przytem nudna, ckliwa i bez wartości, stanie się tem czem być powinna, czem niegdyś były Wolne Żarty. W Kuryerze Świątecznym częściej znajdzie się powód do zabawy i . ... rozwagi, ale i w nim znać brak współpracowników coby życia za farsę nie brali, coby patrzyli na świat cokolwiek poważniej, rozumniej i pojmowali również rozumnie potęgę humoru i jego znaczenie.

— Kronikarz Tygodnika illustrowanego dziwi się że pomimo uznanej naszej dla niego życzliwości, przypuszczamy do współpracownictwa jakiegoś Marudę, który czasem majaczy i nie dobrze rozpatruje się w zdaniach przez niego rozważanych. Przeczytawszy ten zarzut, Maruda, podumał, pokręcił głową i rzekł:

— Być może że mi potrzebne już okulary w złotej oprawie jakie kupić doradza, chętnie więc przypuszczam że ma zupełną słuszność, ale kwestya którą podniosłem zaczepiając go, nie spoczywa w zarzucie jaki mi czyni, tylko w niepotrzebnem poruszeniu jakiejś sprawy, zowiącej się niby młodą i starą prasą, która jak dowiodłem, a zdaje się dosyć zasadnie, nie ma miejsca. Dla czegóż nie poparł mnie i pokrywając milczeniem rzecz ważniejszą, podniósł drobnostkę a uszczypał przypomnieniem nie dzielenia zapału, mnożenia stypendyów dla studentów uniwersytetu? Bądź co bądź zawsze mu wdzięczny jestem za troskliwość dla oczów moich dość już pracą sponiewieranych, a w zamian oświadczam mu, że mnie stokroć więcej cieszy ogłoszone ofiary półzłotówkowe co miesiąc przez biednych rzemieślników na mającą się wybudować salę dla odczytów dziesięciogroszowych, więcej raduje jedną wiadomość, że jakiś biedak przy pomocy poczciwej nauczył się czytać, niż najhojniejsze dary składane na stypendya uniwersyteckie. Społeczności przy największym rozwoju uniwersytetów, pozostaną ciemnemi, jeżeli szkółki są zaniedbane. Przez nie dopiero dźwiga się oświata, a później dopiero przez uniwersytety. U nas poszły rzeczy na opak, to też rozwijamy się dziwnie opacznie.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami oraz na osobnym dodatku opisy rycin i krojów.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Opis do N. 23.

N. 1. Kapelusz bastowy wiązany.

Biały bastowy kapelusz, z rondkiem w górę wywiniętem i objętem 1 cent. szeroko rypsem fijołkowym, przystrojony jest fijołkami, wstążką fijołkową 6 cent. i lila 6½ cent. szeroką. Podpięcie nad czołem przewija się z obydwóch cieni, wstążki; przy opasaniu główki gładko podłożona wstążka lila, stanowi wypustkę przy fijołkowej. Na wachlarzowe upięcie z przodu główki, przypinane w odstępie 6 cent. składa się obiedwie wstążki razem, przez środek, w 4 fałdki 1 cent. szerokie, ażeby wstążka jasna stanowiła podszewkę, widoczną przy zginaniu wachlarzy. Z tyłu główki oprócz przewinięcia, dodane są długie, spuszczone pukle, z wstążki fijołkowej. Szarfy 80 cent. dlugie są także fijołkowe.

N. 2. Kapelusz Pamela z woalem.

Lekkie ubranie kapelusza podróżnego albo do wiejskich spacerów, stanowi gaza brązowa lub srebrno popielata, 55 cent. szeroka zręcznie na główce upięta, której koniec 72 cent długi, spuszczony jest z tyłu. Z lewej strony główki na gazie przypięty jest bukiet z kwiatów, a rondko od spodu podszyte rulonikiem z aksamitu, tego co gaza koloru.

N. 3. Kapelusz z dyjademem z kwiatów.

W koło do góry podniesione, 5 cent. szerokie rondo, białego bastowego



N. 7. Parasolik składany oszyty frendzlą, koronką i ozdobiony wyszyciem z perełek. Patrz ryc. 9 w Nrze 22.



N. 8. Wachlarz chiński hebanowy, z białą materją i czarną koronką.



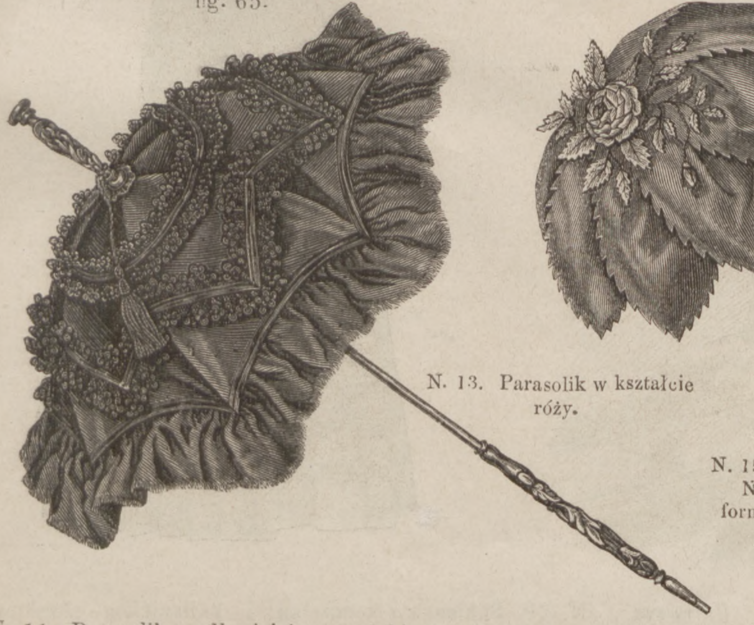
N. 2. Kapelusz Pamela z woalem.
N. 3. Kapelusz z djademem z kwiatów
N. 4. Kapelusz pasterski z wieńcem.
N. 6. Kapelusz japoński.
N. 1—6. Kapelusze wiosenne.
N. 1. Kapelusz wiązany z djademowem podpięciem.
N. 5. Kapelusz tyrolski.



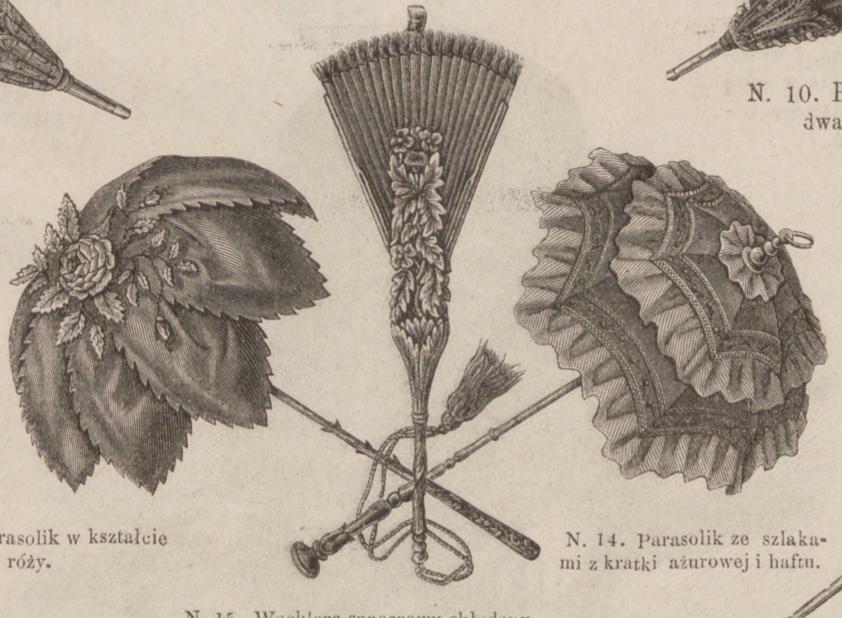
N. 9. Parasolik (en tout cas) z haftem i koronką irlandzką. Patrz ryc. 8 w N. 22. Deseń haftu fig. 65.



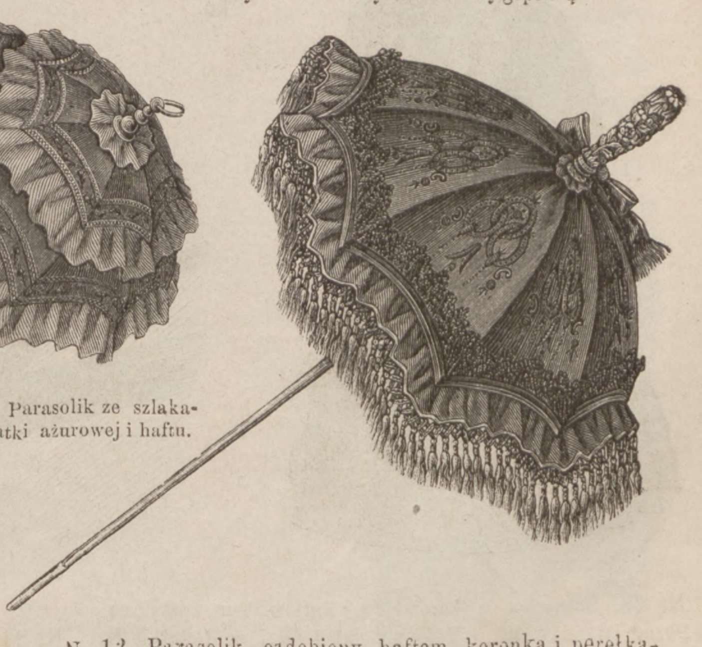
N. 10. Parasolik (en tout cas) z podszewką jedwabną écru i takąż wełnianą gipiurą.



N. 11. Parasolik na długiej lasce ozdobiony koronką.

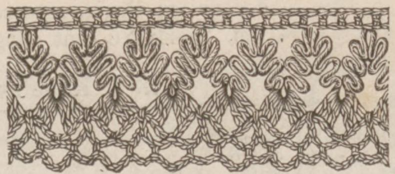


N. 13. Parasolik w kształcie róży.
N. 14. Parasolik ze szlakami z kratki ażurowej i haftu.
N. 15. Wachlarz spacerowy składany.
N. 7 do 15. Parasoliki rozmaitą formą i przybraniem oraz wachlarze.



N. 12. Parasolik ozdobiony haftem, koronką i perełkami. Koronka podana w N. 22 na ryc. 9. Deseń w dodatku fig. 66.

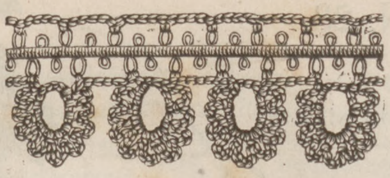
kapelusza, z wierzchu wyszyte jest w zęby 3 cent. szerokie czarnym kordonkiem i szmelcowanemi perełkami, a od spodu podpięte bufką z czarnego tiulu na rypsowej wstążce i dyjademem z drobnych białych kwiatków i pączków róży, które aż do tyłu główki zachodzi. Z wierzchu kapelusz przybrany jest wstążką czarną rypsową 7 cent. szeroką i bukietem z róż różowych i białych kwiatków. Od przewijanej wstążki z tyłu na główce, spuszczone są długie końce.



N. 16. Koroneczka z tołsadką i robotą szydełową.



N. 18. Sukienka dla chłopczyka. Krój w dodatku N. IX, fig. 57—59.



N. 17. Koroneczka z plecionki mignardise i ząbków szydełkowych.

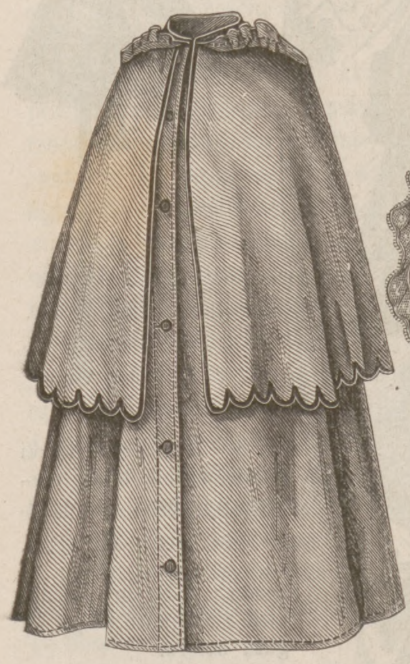
N. 6. Kapelusz japoński pleciony ze słomy Manilla, otoczony jest wiankiem ze stokrotek; wierzch płaskiej główki przybrany wstążką 3 cent. szeroką upiętą w płaskie pukle. Końce wstążki przeprowadzone pod wianeczkiem, przepięte są w długie pętlice przez rondo i spuszczone długo z tyłu. Od spodu brzeg ronda podgarnirowany jest riuszą z białej 2 i pół cent. szerokiej wstążki.

N. 4. Kapelusz pasterski.

Owalna główka cienkiej, ryżowej, białej pasterki, opasana jest gładko czarną aksamitką, i przystrojona sutym wieńcem z róż i konwalii, zakończonym z tyłu wiązanką z liści, związanym wstążką, której jedna strona jest różowa, druga blado niebieska.

N. 7—15. Parasoliki i wachlarze.

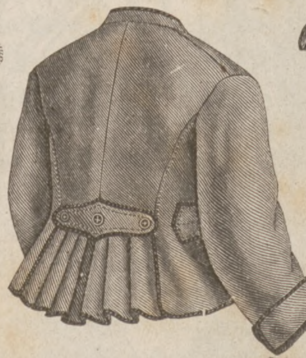
Wachlarze coraz większem cieszą się powodzeniem, tak iż w każdej porze roku stanowią niejako dopełnienie toalety nietylko balowej lub do teatru, ale nawet spacerowej. Do salonowego ubrania bywają zawieszone na łańcuszku, przypięte agrafką albo zawieszone na wstążce przy pasku. Do spacerów wiosennych, gdy parasolki są jeszcze zbyteczne, dla zasłonienia oczów od promieni słońca, panie używają różnych wachlarzy z długiemi laseczkami, jako dogodniejszych do noszenia w ręku. Owalne spacerowe wachlarze w laskach skórzanych, przedstawia ryc. 1—2 w N. 22 Tygodnika. Do powozu najwłaściwsze są duże pół okrągłe wachlarze, z krótką rączką i sznurem jedwabnym do zawieszenia na ręku; wachlarze te dają się łatwo otwierać i zamykać za pomocą wstążeczki przewleczonej w górze. Na ryc. 15 podajemy taki wachlarz z materyi



N. 22. Płaszczyk dla panienek. Przód do ryc. 23. Krój w dodatku N. III fig. 16—19.



N. 24. Czepeczek z szerokim karczkiem.



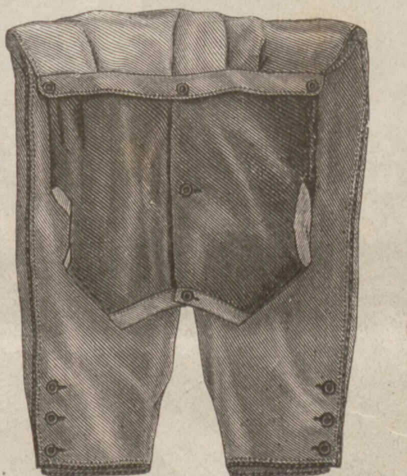
N. 19. Kurtka do ubrania ryc. 21. Krój w dodatku N. IV, fig. 21—29.



N. 25. Czepeczek z końcami z barbki.



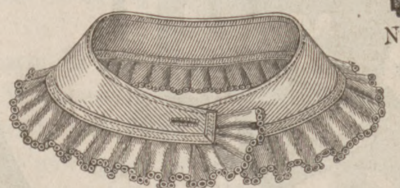
N. 23. Płaszczyk dla panienek. Plecy do ryc. 22. Krój w dodatku N. III. fig. 16—19a.



N. 20. Majtki do ubrania ryc. 21. Krój w dodatku N. IV fig. 20.

N. 5. Kapelusz tyrolski; 10 cent. wysoka główka kapelusza przystrojona jest 6 cent. szeroką wstążką rypsową składaną w zęby.

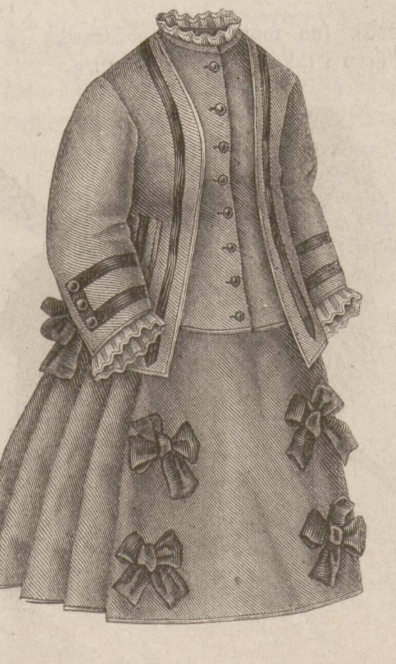
Suta rozeta ze wstążki w pukle złożonej, ozdobiona klamrą stalową, przypięta jest z lewego boku; z pod rozety spływają długie pióra kapłonie. Rondo objęte jest z wierzchu wązko, od spodu szeroko, czarnym aksamitem, i wywinięte w górę z lewego boku.



N. 26. Okrągły kołnierzyk dla dziecka. Patrz ryc. 27.



N. 27. Okrągły kołnierzyk. Przód patrz ryc. 26. Krój w dodatku N. XI, fig. 63.



N. 28. Sukienka z kamizelką i kaftanikiem z baskiną. Przód do ryc. 29. Krój na lat 4 do 7 w dodatku N. VII, fig. 45—51.



N. 21. Ubranie dla chłopca od lat 6—10. Patrz ryc. 19 i 20. Krój w dodatku N. IV fig. 20—29.



N. 29. Sukienka z kamizelką i kaftanikiem z baskiną. Plecy do ryc. 28.

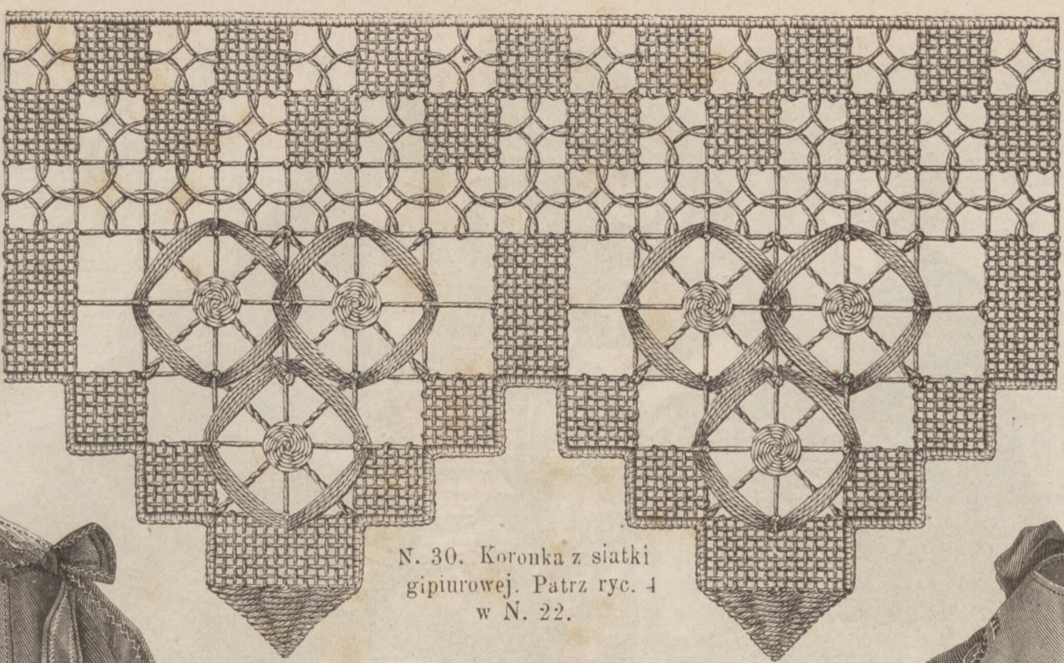
brązowej, w oprawie z pięknie rzeźbionego drzewa także brązowego koloru.

Przejście od wachlarzy do parasolików stanowi wachlarz chiński, nakształt okrągłego daszka, odrobiony z materyi i drzewa. Taki wachlarz z czarnego drzewa białej materyi i czarnych koronek, przedstawia ryc. 8.

Oprócz parasolików: *en tous cas* i. parasolików z laską do podpierania, najmodniejsze do strojnej toalety, są małe składane parasoliki przyozdobione haftem lub koronką, z misternie odrobioną rączką drewnianą, albo ze słoniowej kości.

Rycina 7 przedstawia taki parasolik, z czarnej materyi, oszyty frendzlą jedwabną, na którą spada szeroka czarna koronka, naszyta dżetem. Rzucik na kwaterkach naszyty jest dżetem i listkami z koronki.

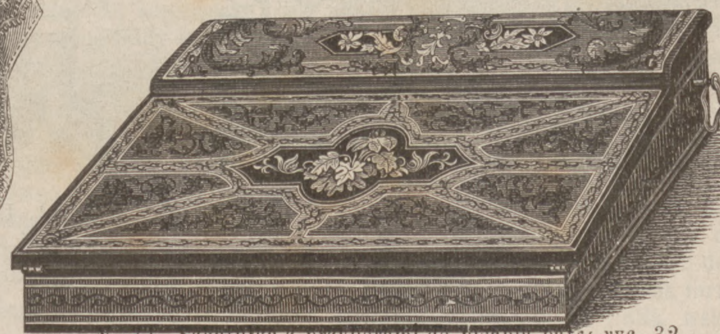
Ryc. 13 przedstawia parasolik w kształcie róży, odznaczający się nowością pomysłu i fantazyją; drewniana laseczka naśladuje łodygę róży z kolcami. Oprócz powyżej wymienionych załączamy modele parasolików ozdobionych haftem, koronką, falbankami i aplikacyją tiulu i haftu.



N. 30. Koronka z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 4 w N. 22.



N. 35. Fartuszek z zaszewkami. Krój w dodatku N. X fig. 60—62—62a. Patrz ryc. 36.



N. 31. Szkatułka z przyborami do pisania patrz ryc. 32. Deseń na wierzch i ściany boczne w dodatku fig. 30—32.



N. 37. Fartuszek z napierśnikiem. Krój w dodatku N. X, fig. 61—62a. Patrz ryc. 20.

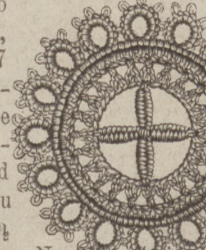
N. 16. Koroneczka szydełkowa z torsadką ze sznureczka.

N. 17. Koroneczka szydełkowa z plecionką mignardise.

N. 18. Sukienka dla małego chłopczyka.

Krój na arkuszu dodatkowym. N. IX fig. 57—59.

Taką sukienkę odrobić można z sukna, wełnianej materyi, albo z płótna szarego lub granatowego, 34 cent. długa, dwa metry szeroka spódniczka, ma obrąb 4 cent. szeroki, w górze ułożona jest w głębokie fałdy, zaprasowane do dołu i przyszyta do gładkiego stanika, na mocnej podszewce, przykrojonego podług fig. 57 i 59. Gładkie wyłożenie, zdobiące sukienkę z przodu, daje się oddzielnie do stanika i spódniczki, a schodzi ze sobą pod paskiem, zapiętym z boku i przyozdobionym kokardą z szarfami. Sukienka przedstawiona odrobiona jest z cienkiego, szarego płótna naszyta białą pikową torsadeczką. Z jednej strony dziurki obrobione są białą bawełną, a do sukienki przyszyte guziki płócienne lub z konchy perłowej; z drugiej strony, dziurki odznaczone są tylko cienkim sutaszem i naszyte także białe guziki. Wykrój pod szyją, mankiety i końce szarfy, oprócz torsadki, oszyte białą koronką.

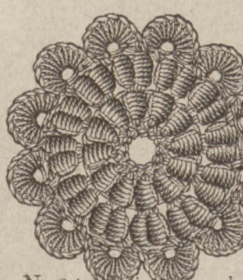


N. 33. Gwiazdka robotą frywolitową, szydełkową i gipiurową.

N. 19—21. Kurtka i majtki dla chłopczyka od lat 6—10. Forma na dodatku z krojami, N. IV fig. 20—29.

Model całego ubrania odrobiony był z żółtawego, letniego bukskingu, a brzegi, mankiety i patki zakończone pół cent. szerokim obrąbkiem lub stębnowaną listewką, i naszyte brązowym, jedwabnym sznurem. Zewnętrzne szwy majtek stębnują się w ten sposób iż przednie połowy wystają z brzegu na pół cent. i oszywają jedwabnym sznurem. Szwy wewnętrzne zeszyte są z lewej strony. Z przodu majtki przyszywają się do perkalowego stanika, z tyłu wszywają w pasek 3 cent. szeroki, w którym obrobione są trzy dziurki, równoległe trzem guzikom, przyszytym do stanika w środku i z boków. Pod szyją staniczek objęty jest 2 centy. szeroką pliską z bukskingu.

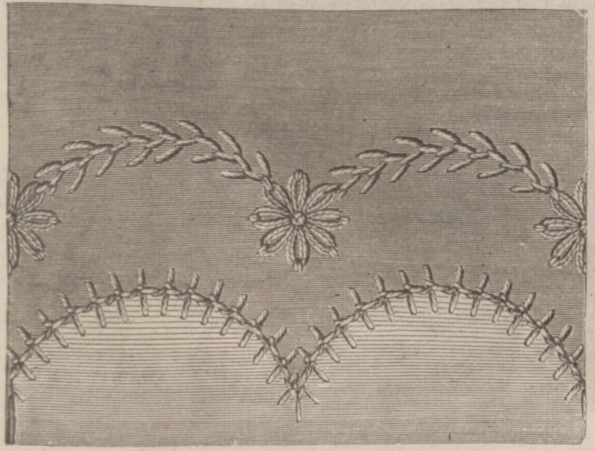
Jak widzimy na ry. 19 i 21, nietylko dół i przednie brzegi kurtki, ale i kołnierz stojący, mankiety rękawów, przecięcie kieszonek i patki, oszyte są jedwabnym, brązowym, grubym sznurem. Przody podszyte są z brzegów 4 cent. szerokim kawałkiem bukskingu, stanowiącym wyłożenie klapek, na guzik zapiętych i służącym do umocowania dziurek i guzików. Fałdy baskiny przykrojonej podług Fig. 24, powinny być zaprasowane; przyszycie do stanu przykrywa patka ozdobiona 3 guzikami; przy zeszyciu baskiny do boków, te ostatnie zachodzić powinny pół cent. na wierzch i być oszyte sznurem. Boczna klapka naśladująca kieszeń musi być w koło sznurem oszyta, a przez środek przystębnowana.



N. 34. Gwiazdka robotą szydełkową w węzły nawijane.

N. 22—23. Płaszczyk od deszczu, dla panienki. Forma na dodatku z krojami fig. 16—19a.

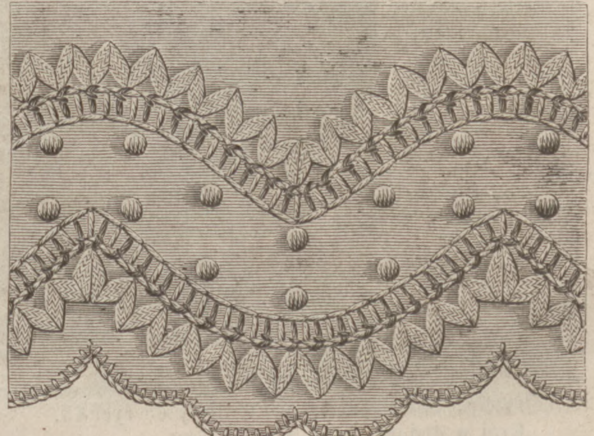
Przody i plecy płaszczyka z materjału zwanego *Waterproof* wykrawa się podług formy fig. 16 i 17, którą podług miary



N. 36. Szlak do fartuszka ryc. 35.



N. 32. Deseń do szkatułki ryc. 31. Malowanie na drzewie.



N. 38. Zakończenie do fartuszka ryc. 37.

dopełnia się od dołu, a do brzegów z przodu dodaje się 5 cent. na listwę do dziurek i guzików, podszytą mocną podszewką. Wykrój pachy przy przodach powinien być listewką objęty, pelerynę z brzegów i u dołu oszywa się czarną wełnianą taśmą, a z boków przyszywa razem z przodami do pleców.

Płaszczyk odszyty z popielatego *Waterproof'u*; w środek kapturka dany praktyczny materjał zwany „*Cloth*". Wykrój pod szyją wraz z kapturkiem zaszytym w drobne fałdy, obejmuje się wązką, skośną pliską. Płaszczyk z przodu zapina się na 6 czarnych, rogowych guzików, a kapturek zdobi kokarda z czarnej wstążki.

N. 24—25. Czepeczki negliżowe.

Owalne denka obydwóch czepeczków, mające 34 cent. szerokości a 37 długości, krają się skośnie, z tiulu lub z muślinu; brzegi zaszywa się w równe fałdki lub marszczki, do 53 cent. obwodu i wszywa w pasek



N. 39. Ubranie dla chłopca do lat 3.

N. 40. Ubranie dla małej dziewczynki.

N. 41. Ubranie dla dziewczynki od lat 6 do 8.

2 cent. szeroki. Na środku z przodu i z tyłu denka pozostaje gładki odstęp 6-7 centymetrów.

N. 24. Czepeczek z szerokim karczkiem.

Skośna kontrafałda oszyta walansienką 3 cent. szeroką, i podwleczona kolorową wstążką, zdobi denko. Karczek od dołu zaokrąglony i walansienką oszyty, mający 60 cent. długości, a 12 środkowej szerokości, układa się w górze w równe fałdy, do 12 centy. objętości i przyszywa do paska.

Garnirunek stanowi w koło przyszyta riusza 6 centy. szeroka, z muślinu oszytego wązką walansienką, przez środek przedzielona w rulon zwiniętą wstążką kolorową 4 i pół centy. szeroką. Z boku przypięta jest kokarda z tejże wstążki, a karczek zdobią dwa długie pukle z końcami.

(Dalszy ciąg w osobnym dodatku).



N. 44. Vêtement. Przedstawione z boku. Krój w dodatku N. I. fig. 1—6a. Patrz ryc. 42 i 43.



N. 42. Vêtement. Patrz ryc. 43—44. Plecy do ryc. 43. Krój w dodatku N. I, fig. 1—6a.



N. 43. Vêtement. Przód do ryc. 42. Patrz ryc. 42—44.

Tygodnik Mód w Warszawie 1874 roku.

DODATEK

z opisami wzorów i krojów do Numeru 23-go

Opis do N. 23.

(Dalszy ciąg).

N. 25. Czepeczek negliżowy z barbką koronkową.

Trzy centymetry szeroka wstawka gipiurowa, oszyta równie szeroką koronką i podłożona wstążką kolorową, przypina się na denku i zdobi kokardą. Dwa końce z takiejże wstawki i koronki zastępują karczek. Riusza z muślinu oszytego wąziutką koroneczką, nad czołem w duże, z boków w drobne fałdy ułożona, ma w środku 9, z boków 6 centy. szerokości.

N. 26—27. Kołnierzyk okrągły dla dzieci.
Krój N. XI Fig. 63.

Kołnierzyk taki z podwójnego płótna, z przodu na spinkę zapięty, służy zarówno dla chłopczyków jak i dla dziewczynek. Haftowana lub koroneczką oszyta, 2—3 centy. szeroka, fałdowana falbanka, przyszyta jest pliską wązką, stębnowaną.

N. 28—29. Sukienka z kaftaniczkiem i kamizelką, dla dziewczynki od lat 4—8.
Krój N. VII. Fig. 45—51.

W głębokie fałdy ułożona spódniczka, kamizelka i kaftaniczek, odrobione z piaskowego wełnianego materjału, i przybrane plisami i kokardami z materyi ciemniejszego koloru.Taki sukienny kaftanik z aksamitną lub jedwabną kamizelką, może do każdej sukienki stanowić spacerowe ubranie. Kamizelka podług Fig. 45—47 przykrojona, ma przody i stojący kołnierz z materjału sukni, na mocnej podszewce, a plecy tylko z samej podszewki są u dołu w drobne na formie oznaczone fałdki zaszyte, i do paska od spódniczki przyczepione; z przodu kamizelka zapięta jest na guziczki. Kaftaniczek bez podszewki przykrojony, naszyty jest pliską z materyi 3 centy. szeroką.

Górną część przedniego bryta spódniczki, na Fig. 51 podaną, trzeba podług miary dopełnić od dołu. Resztę brytów kraje się prosto, podszywa muślinem, daje u dołu obrąb 3 centy. szeroki, a u góry układa w fałdy, 4 centy. szerokie, do dołu zaprasowane. Kokardy jedwabne mają 4 centy. a szarfy 12 centy. szerokości; u dołu szarfy są wysiepane i w kwaściki przewiązane.

N. 30. Koronka z siatki gipiurowej do vêtement i t. p.
Zobaczyć ryc. 4 w N. 22 Tygodnika.

N. 31 i 32. Szkatułka do pisania Malowanie na drzewie.

Deseń na wązkie wieko rycina 32; na szerokie Fig. 30—32 na arkuszu z formami. Szkatułka taka, zawierająca wszelkie przybory do pisania, po otworzeniu deki, stanowi dogodny pulpit do pisania. Ładne desenie do malowania na drzewie, odpowiednio rozdzielone i wybrane, służyć mogą do przyozdobienia pudełek do rękawiczek, szkatułek, tek i t. p.

Na jasno orzechowym lub brązowym tle drzewa, arabeski malowane są tymże samym kolorem do cieniu, dobranym od bardzo jasnego do czarnego. Paski i linijki odznaczające brzegi szlaków są koloru złotawo—żółtego.

N. 33. Rozeta z frywolitek i roboty szydełkowej, do sukienek dziecinnych, bielizny i t. p.

Rozetę zaczyna się od brzegu, 16 połączonemi w kółko listkami frywolitek. Na każdy listek potrzeba 5 podwójnych węzełków, 5 pikotów przedzielonych 2 pod. węzeł. i znów 5 od węzełków. Nitkę łączącą pikoty potrzeba dwa razy odziergać do środka, dodając pod obadwa rzędy dziergania, nitkę grubszej bawełny.

Dzierganie obrabia się rzędem ząbków szydełkowych, złożonych z 7 o. powietrznych i 1 o. ści. ząbki te obrabia się następnie ściślejszem kółkiem z o. łańcuszka. Środek kółka zapełniają listki gipiurowe, obrobione na podwójnie przeciągniętych nitkach.

N. 34. Rozetka szydełkowa z pikotów nawijanych.

Zaczyna się od kółka z 12 o. pow. koło których obrobić trzeba 12 pikotów (10 razy na szydełko nawijanych,) przedzielanych 1 o. powietrznem. W drugim rzędzie naprzeciw każdego z poprzedzających mieści się 2 nawijane pikoty, przedzielane 2 o. powietrznemi. Na każdy z ząbków, zakończających rozetę, potrzeba 10 o. pow. w które nabiera się 10 węzłów zatrzymanych na szydełku i przerobionych razem 1-ną pętelką. Każdy ząbek przyrabia się do 2 o. pow. przedzielających pikoty.

N. 35 i 36. Fartuszek z szerokim napierśnikiem.
Krój w dodatku N. X Fig. 60—62 a.

Fartuszek ten odrobiony z cienkiego szafirowego płótna, objęty jest w koło listwą z płótna białego, przydzierganą w zęby do fartuszka. Ry. 36 podaje w naturalnej wielkości deseń wyszycia i wyraźną próbkę ściegów. Forma fartuszka jest tak łatwa i znana że na Fig. 62 i 62a wskazujemy tylko sposób kroju i zmniejszony rysunek fartuszka. Formę napierśnika z zaszytemi zakładkami, załączamy na Fig. 60. Pętelka dodana na środku służy do przypinania napierśnika do stanika sukni.

N. 37—38. Fartuszek z wązkim napierśnikiem, z cienkiego szarego płótna, wszyty jest w pasek 2 centy. szeroki, do którego przyszywa się napierśnik, wycięty podług Fig. 61 i wydziergany w zęby. Szlak zdobiący fartuszek, wyszywa się ząbkami z plecionki i odrabia białą bawełną i czarną włóczką, podług desenіu podanego w naturalnej wielkości na ry. 38. Dzierganie odrabia się najpierw białą bawełną, a następnie dodaje czarne ściegi w sposób na deseniu wskazany, nakoniec dopełnia się robotę długiemi poprzecznemi ściegami. Dwa rzędy muszek haftowanych atłaskiem zapełniają przedział środkowy.

N. 39. Ubranie dla chłopczyka od lat 1—3.

Krój jak do Ry. 12 i 13 w N 1. Tygodnika mód z roku bieżącego.

Dwa metry szeroka wełniana orzechowa spódniczka, ułożona jest w górze w fałdy 3 centy. głębokie. Kaftaniczek z marynarskim kołnierzem, przecinany od dołu; oszyty jest plisami 2 centy. szerokiemi, z materjału w jaśniejszym odcieniu, i przybrany guziczkami oszytemi takimże materjałem. Przy kieszonkach pliski są nieco węższe.

N. 40. Sukienka dla dziewczynki od lat 1 do 4.
Krój jak do Ry. 1. w N 8. Tygodnika.

Bryt przedni i boczne kliny sukienki są skośnie ścięte, dwa zaś tylne 30—38 centy. szerokie, proste bryty tylne, w górze przez długość stanika zaszywają się w głębokie, wdłuż zamocowane fałdy i wszywają w pasek 3 centy. szeroki. Garnirunek z przodu stanowią plisy skośne, 4 centy. szerokie, naszyte w sposób na ryc 40 wskazany, a z tyłu falbanki skośne 5 centy. szerokie, bardzo mało nadmarszczone. Na ry. 40 przy sukience z popielatej alpagi, wszystkie plisy i falbanki, objęte są pliską 1 centy. szeroką, z materyi albo alpagi w jakim jasnym kolorze.

N. 41. Sukienka dla dziewczynki od lat 6—8.

Krój kaftaniczka jak do Ry. 28—29. w N. 23. Stanik kraje się jak do Ry. 31—32 w N. 21 Tygodnika. Przy sukience z alpagi koloru rezedowego, szafirowego, lub popielatego, z gładkim stanikiem, tiuniką i kaftaniczkiem bez rękawów; plisy i pliski stanowiące garnirunek, są znacznie jaśniejszego odcieniu, z takiego jak sukienka materyjału. Pliski do objęcia i naszycia na falbanach mają $^{3}/_{4}$ centy. szerokości, plisy naszyte nad falbanami przy spódnicy i tiunice

4 centy. przy kaftaniczku bez rękawów są $^{3}/_{4}$ i $1^{1}/_{2}$ centy. szerokie. Guziki oszywa się jasnym materyjałem.

N. 42- 44. Vêtement w ząb ścięte u dołu. Krój N. 1 Fig 1—6.

Krój ten zarówno odpowiedni jest do Vêtement zaksamitu lub ciężkiej materyi, jak i do kaszmiru a nawet do lekkich letnich materjałów. Dla dokładnego przedstawienia fasonu i sposobu podpięcia, ry. 42 przedstawia takie vêtement z tyłu, ry. 43 z przodu, a ryc. 44 z boku. Jak to widać dokładnie na zmniejszonym rysunku Fig. 1a—6a, przody krają się razem ze stanem, szeroką zaś część tylną spódnicy, przyszywa się do pleców i boczków prosto ściętych od dołu. Formę przodu z bocznemi i dolnemi zębami, podajemy w całości, tylnego zaś bryta załączamy tylko część dolną jako trudniejszą, a górną wypada dopełnić podług miary i wzoru, podanego na zmniejszonym rysunku Fig. 4a. Wyłożenia potrzebne do Fig. 1 i 4 jako też zaszycie fałdów jest na formie dokładnie oznaczone.

Boczny brzeg przodu zachodzić powinien na tylną, w górze przyfałdowaną część spódnicy, i być przyszytą od B do H, podług oznaczonej na Fig. 1 a cienkiej linii. Pasek 4 centy. szeroki w środku kokardą z klamrą przyozdobiony, służy do przykrycia zeszycia spódnicy ze stanem i lepszego przyciśnięcia pleców.

Od zeszycia boków pasek może być na spód przeciągnięty i zapięty, a przody zostają nieprzepasane.

Łatwo się domyślić, że ta sama forma służyć może do vêtement u dołu równo obciętego i z przodu niezapinanego. Potrzebne zmiany dopełni osoba obeznana z krojem sama, bez trudności.

Ryc. 42 i 43 przedstawia vêtement aksamitne, całe *Clothem* podszyte. Podwójna, wązka pliska z jedwabnego rypsu, z grubym zaszytym sznurem, i piękne szmuklerskie guziki, stanowią całe przyozdobienie. Mały stojący kołnierz zdobi gipiurowa, czarna, 4 centy. szeroka koronka, sfałdowana i w dwie strony na wszyciu kołnierza przyszyta.

Ryc. 44 przedstawia z boku takież vêtement odrobione z szarego batystu, oszyte koronką z siatki gipiurowej i przybrane agrafami z bawełnianego sznura. Wzór koronki załączamy na ry. 30 i na ry. 4 w N. 22 Tygodnika mód.

O ubiorach.

Zapowiadamy czytelniczkom naszym na wstępie, że mamy im do opowiedzenia mnóstwo nowości z dziedziny mód. Nieledwie jesteśmy w kłopocie od czego zacząć? Decydujemy się na sprawozdanie o kapeluszach, których zmiana w obecnej porze jest konieczną. Otóż kapelusze teraźniejsze są to tak zwane kapotki; wysokie, fantazyjne główki, z maleńkiem rondkiem bez karczka z tyłu, zagarnirowane niezmiernie suto—istne czepki Bretońskie, które jednak nie są bez wdzięku. Dokładniejsze wyobrażenie powezmą czytelniczki z kilku przytoczonych opisów, i tak: Kapelusz bardzo strojny: biały fason, podszyty różowem, główka ułożona fantazyjnie z gazy paryskiej blado niebieskiego koloru, a rondko odwinięte z boku à la Rembrandt, oszyte dżetowym sznurkiem i zagarnirowane falbankami z crêpe lisse białej, ułożonemi w drobniuchne fałdy. Takaż falbanka podszyta pod opuszczonym na włosy brzegiem rondka, a drugi brzeg, odwinięty podtrzymuje blado niebieskie piętrzące się na główce wśród fałdów gazy, pióro—i cały jest począwszy od boku aż do tyłu, na całą szerokość odwinięcia, przybrany blademi różami bez liści. Z tyłu umiejętne zakończenie główki z gazy, falbanki i podpięcia róż, dopełnia tego prawdziwie gustownego i pełnego fantazji kapelusika.

Inny, z czarnego koronkowego tiulu, cały naszyty dżetem, z którego się składa djadem nad czołem, oszycie i przepięcia—z długiemi z tyłu szarfami z wstawki oszytej koronką i również przybranej dżetem—jest bardzo strojnie i bogato wyglądającym, lubo nieco ciężkim i stosownym by był dla osoby ubierającej się poważnie. Zaznaczymy tu w tem miejscu uwagę, że pożądaną jest umiejętność zachowania w ubiorze, rodzaj równowagi wieku ze strojem. Osoby chcące mieć długo pozór powabny, nigdy nie powinny się uciekać do wybitnych lekkością i pomysłem młodzieńczych toalet; wiosenne kwiaty, przejrzyste zwoje, barwne wstęgi—dobrze to harmonizuje z młodą twarzyczką, lecz uwydatnia nielitościwie jesienną przesilającą się naturalną koleją porę wieku, która przecież może mieć swe wdzięki, tylko potrzebujące koniecznie odrębnego przybrania. Wytworna powaga stroju, kolor ciemniejszy, zamiast uderzająco wiosennej barwy, sploty bluszczu, gałęź koralu, przepięcie z lawy, zamiast rozwitej róży lub wieńca z bławatków, wywołują właśnie dobry efekt, bo odmładzają twarz, która nie tracąc na porównaniu z otoczeniem, zajmuje tylko estetyczną całością zgody tła z obrazem. Taki więc bogaty, wytworny a poważny kapelusz, jak ów czarny z dżetem polecamy osobom chcącym zastosować się do naszej uwagi, którym nie radzimy brać np. kapelusza, zwanego *peigne de coq*. Jest on ułożony z materji rezedowej w fałdy, istotnie na podobieństwo koguciego grzebienia, a gałęź pysznych pąsowych maków dopełnia oryginalnej kopji tego pierwowzoru. Kapelusze fasonu „Fryda“ i „Laura“ czarne, z przepięciami z pięknych klamer z perłowej konchy, podgarnirowane białą falbankę z crêpe lisse, z dodatkiem egretki z piór, są bardzo gustowne i nie opatrzą się tak prędko. Mimo że kwiatów na kapeluszach tutaj widzimy dosyć, powiemy jednak czytelniczkom, że wyższy gust, zastępuje tę ozdobę gazą, dżetem, i piórami. Nowością jest strojenie kapelusza szalikiem jedwabnym, podobnym do tych jakie się nosi na szyi; szalik taki zawiązany na fantazyjny węzeł końce ma rzucone na główkę kapelusza, naszytą dżetem czarnym, lub stalowo-szafirowym. Nie jest to strojnie, ale dość praktycznie, i modnie. Dla młodych osób śliczne są węgierskie toczki czarne lub brązowe, objęte aksamitem, ze skrzydełkiem, egretką, lub gałązką kwiatu. Do wód na rano, stosowne są okrągłe „Japonaise“ ażurowo plecione, przybrane girlandą kwiatów, lub riuszą strzępioną z materji. Do poważniejszych kapeluszy, dodają z tyłu szarfy bardzo długie, które biorą się naprzód, wiążą lekko, i przypinają fantazyjnie z boku klamrą lub kwiatem. Jeżeli kapelusz przybrany jest gazą, noszą takież same woalki spięte bez końców z tyłu, lub czarne z dżetem, gazowe ze szlaczkiem, wszystkie niezbyt długie. Parasoliki z laskami, lubo wygodne, stanowczo wyszły z mody używają teraz krótkie, z rzeźbioną rękojeścią drewnianą, z łańcuszkiem złotym lub stalowym, okute u góry, czarne lub brązowe z podszewką niebieską lub fijołkową, dość duże tak zwane en-tout-cas. Strojniejsze są małe z falbankami, w kolorach popielatym i piaskowym. Ceny od rs. 4 do rs. 6. Wielki wybór parasolików znaleść można w magazynie Pana Dziechcińskiego przy ulicy Miodowej. Okrycia są w różnych fasonach. Dolmany z materjału Drap de velour, zahaftowane dżetem należą do najmodniejszych. Lżejsze talmy z kaszmiru dubeltowego z tyłu z fałdem, i z naśladowaniem kapturka, przybrane wełnianą gipiurą, która stanowczo odniosła zwycięztwo nad jedwabną, stanowią bardzo praktyczny i ładny ubiór zwierzchni na ulicę. Dla starszych osób mantyle z tyłu z fałdem, z przedłużonemi z przodu końcami, z przystrojem z gipiury, dżetu, i rypsowych jedwabnych plisek. Widzieliśmy wielki wybór sprowadzonych z zagranicy i tutejszych wyrobów, u p. Dziechcińskiego i z chlubą wyznajemy, że krajowe pod względem odrobienia, gustu, kroju, bynajmniej nie ustępowały paryzkim. Sliczne są kaftaniki kaszmirowe do figury, krótkie z kołnierzem i klapami wyłożonemi, mnóstwo ich pojawia się teraz jako stosowna do pory nowość, dla młodych osób. Żakiety o których wspominaliśmy, mają też ciągłe uznanie, ale na później rokujemy stanowcze pierwszeństwo kaszmirowym pelerynkom, talmom i polecamy je należnym względom. Ceny okryć stosowne do materjału i przybrania: pelerynki od 12 do 19 rs. Dolmany od 18 do 25 rs. Kaftaniki od 9 do 12 rs.

Kto lubi kompletować przybranie kapeluszy wedle swego wyboru, polecamy mu skład wstążek piór i kwiatów p. Dąbrowskiego przy Senatorskiej ulicy. Ceny przystępne, a gatunki istotnie dobre zasługują na uwagę. Kwiaty są przepyszne. Od 2 rubli i taniej, można dostać przystrój do kapelusza lub czepeczka, a musimy nadmienić, że o ile rzadziej ich widzimy przy kapeluszach, to znów czepeczki, fryzy, kokardy do włosów, do muślinowych letnich sukien, wszystko to mnóstwo zużywa kwiatów. Między innemi uważaliśmy bardzo piękne liście i kwiaty popielate, właściwe do lekkiej żałoby lub dla starszych osób. Gazy paryzkie, odmienne zupełnie od zwyczajnych, są tam w najmodniejszych bladych kolorach, szerokie, po rs. 1 kop. 20 łokieć półtora łokcia wystarczy na kapelusz i woalkę, wstążki we wszystkich odcieniach, egretki, pióra cieniowane białe i naturalne od 75 kop. do 10 rs. atłasy do przybrania po rs. 1 kop. 20 łokieć, aksamitki z atłasowym spodem kolorowe, i czarne do medalionów, szliczne szarfy od pięciu do dwunastu rub. sr. rypsowe, morowe szkockie, fryzy, krawaty, oto zadawalający wybór pięknych przedmiotów i najmodniejszych nowości.

W dalszym ciągu sprawozdań opiszemy modne suknie i piękną wyprawę którą mieliśmy sposobność widzieć. Teraz wspomnimy jeszcze o chusteczkach tiulowych, naszytych dżetem z kokardami lub bez które noszą do sukien wełnianych i jedwabnych, wyglądają bardzo strojnie i każda czytelniczka przygotować sobie taką sama potrafi. Chusteczka ta jest z tyłu owalna oszyta koronką, z przodu końce nie sięgające stanu, przy podłużnym wykroju stanowi dobre zakończenie sukni. Fryzy z samego dżetu na drucikach są nowością ładnie ubierającą a trwałą. Kołnierzyki wszystkie noszą się z tyłu stojące i fałdowane, z przodu otwarte w kształcie klapek odwiniętych. Mankiety podobnie odwinięte przy spięciu. Jakakolwiek muślinowa, koronkowa, jedwabna z iluzją wreszcie dżetowa fryza, należy do koniecznego dopełnienia toalety. Płócienne kołnierzyki są negliżowe, modne będą haftowane biało i kolorowo. Widzieliśmy u p. Hersego wielki zapas podobnych, między któremi odznaczały się ładne z haftowanym monogramem na klapach, kolorowym jedwabiem na niektórych jestto spleciony w monogram rok. 1874. Rozmaitości fryz, kokard, kamizelek i kołnierzy, nie moglibyśmy wyliczyć, zaznaczamy tylko stanowczą ku nim skłonność mody.

Nim przystąpimy do sukien, objaśnimy czytelniczki o krynolinach. Są to słabe echa dawniejszych, mają najwyżej trzy łokcie obwodu, z przodu wiązane na tasiemki, mają dwa rzędy stalek na około u dołu, reszta stalek dochodzi tylko od tyłu do boków u dołu, dodaje się jeszcze falbankę, u góry trzy buffy perkalowe jako turniurę. Nieznać ich prawie i pod ciężką suknię osoby lubujące się w sutych wypukłościach, biorą włosianą turniurkę ale moda ogranicza istność krynoliny do nieznacznych rozmiarów i stalki idąc z tyłu pięć lub sześć razy podtrzymują tył sukni nie wystając jak dawniej wyraźnie.